EPOKA

ROK IV. Warszawa, 20 października 1937 r. Nr. 20 (99)

Treść numeru:

Program gospodarczy demokracji polskiej

„Idą nowe czasy — czytaliśmy niedawno w jednym z czołowych organów demokracji polskiej — trzy wielkie siły realne polskiego świata pracy — polski ruch ludowy, polski ruch socjalistyczny, polski ruch pracowniczy dochodzą stopniowo do wspólnego ujęcia problemu zasadniczego naszej dzisiejszej sytuacji wewnętrznej".

Kto otwartymi oczyma spogląda na rzeczywistość dnia dzisiejszego — ten musi stwierdzić, że słowa te w niezwykle zrównoważonej, ostrożnej formie oddają nowy podstawowy fakt, jaki rok ostatni wniósł w życie polityczne kraju. Tak jest — mimo wszelkich nieraz bardzo umiejętnie inscenizowanych pozorów, głębokie nurty społeczne życia polskiego kierują się w stronę demokracji. Nie faszyzm, nie totalizm robi dziś podboje, zdobywa mózgi i serca milionowych mas polskich, lecz właśnie ta tylekroć wyklinana i grzebana demokracja. Obóz demokracji w Polsce konsoliduje się w szybkim tempie, zwiera swe szeregi, odzyskuje tych nawet, co zdawali się bezpowrotnie straceni dla jego sprawy. Choć nie ujęta w ramy ścisłych, międzyorganizacyjnych porozumień, wspólna walka całego obozu demokracji jest niemniej żywą, realną rzeczywistością.

Jeden moment jednak rzuca się w oczy uważnemu obserwatorowi: oto — jak dotąd — porozumienie demokratyczne objęło tylko jeden odcinek życia społecznego: odcinek ściśle, najściślej polityczny. Rozwiązanie Sejmu, nowa demokratyczna ordynacja, nowe „czyste" wybory, sprawa swobód demokratycznych i wolności stowarzyszeń — oto problemy wyjaśnione chyba w zupełności dla wszystkich odłamów demokracji. Inaczej jest z dziedziną inną: dziedziną zagadnień gospodarczych. Tu do dziś „każdy sobie rzepkę skrobie". Mamy osobny program gospodarczy klasowych związków zawodowych i partji socjalistycznych, mamy osobno deklarację społeczno - gospodarczą związków pracowniczych, mamy osobno deklaracje programowe w tej sprawie Stronnictwa Ludowego.

Prawda, w ostatnich czasach spotkaliśmy się z pewnymi ostrożnymi wzmiankami o programie gospodarczym demokracji w „Czarno na Białym", w „Robotniku" (art. red. Czapińskiego i Winteroka). Ale były to tylko krótkie, okolicznościowe wzmianki, aluzje raczej. Nie mamy dotąd uzgodnionego — uzgodnionego na tyle przynajmniej co program po-

lityczny — programu gospodarczego demokracji polskiej. Co gorzej, nie mamy dotąd nawet próby szerszego jego uzgodnienia, próby postawienia pod publiczną dyskusję jego podstawowych zagadnień. A przecież chodzi tu o problem zasadniczy, o problem, którego rozwiązanie (lub nie rozwiązanie) może mieć decydujące znaczenie dla przyszłości Polski.

Dalecy jesteśmy od niedoceniania wagi i znaczenia zagadnień ściśle politycznych, ustrojowych, polityki zagranicznej i t. d. Wiemy doskonale, że ustrój polityczny stwarza, zacieśnia lub rozszerza możliwości walki o takie czy inne rozwiązanie zagadnień społecznych i gospodarczych. Wiemy, że każdy z poruszonych przez nas przed chwilą, praktycznie już uzgodnionych w szeregach demokracji polskiej, problemów ma dziś swoją olbrzymią wagę, swe kluczowe, decydujące niemal znaczenie. Ale mimo to — właśnie dla spełnienia zadań politycznych, w interesie demokracji politycznej w Polsce trzeba zwrócić uwagę na fakt, że ograniczenie zasięgu demokracji w Polsce do spraw wyłącznie politycznych, jest sprzeczne z jej głęboką społeczną treścią, zwęża jej bazę masową.

Nie samym chlebem człowiek żyje — to prawda. Ale nie żyje i samą wolnością. Szczególnie — „szary człowiek", robotnik, pracownik umysłowy, drobny kupiec i rzemieślnik, chłop wreszcie, w Polsce 1937 roku, roku rosnącej drożyzny i bardzo słabo tylko zmniejszającego się bezrobocia, roku dalszej nędzy chłopskiej i dalszej „nadprodukcji" pracowników umysłowych. Ten „szary człowiek" chce nietylko módz wybierać do nowego Sejmu, na podstawie nowej demokratycznej ordynacji wyborczej, chce on także, by ten nowy Sejm zapewnił mu lepsze niż dotychczas, szczęśliwsze, bardziej wolne od trosk życie. Chce, by mógł jakoś związać końce swego kilkumorgowego gospodarstwa, drobnego warsztatu czy kramu, chce pracy, chce wyższych zarobków, chce skrócenia czasu pracy, chce rzeczywistej, a nie fikcyjnej opieki społecznej. Demokracja musi mu powiedzieć jasno i wyraźnie, jak to osiągnąć. Jeśli potrafi to, potrafi zmobilizować w masach ludowych niewyczerpane zasoby twórczego entuzjazmu i poświęcenia, które przezwycięża wszelkie przeszkody. Jeśli tego zaniedba, pozostawi niewykorzystane swe największe rezerwy, otworzy pole dla harców obłudnej reakcyjnej demagogii różnych odłamów O.N.R-u.

Pamiętajmy! Demokracje niemiecka i włoska pozostały demokracjami formalnymi. Pod osłoną ich demokratycznych paragrafów rozpierały się stare reakcyjne potęgi magnatów obszarniczych i wielkokapitalistycznych. A kiedy przyszła godzina próby — właśnie te demokracje nie ostały się przed burzą faszyzmu. Naodwrót: walcząca demokracja francuska potrafiła połączyć walkę z faszyzmem, walkę z ligami de la Rocque'a i gangsterskimi bandami Doriotów z szerokim programem przebudowy społecznej, programem reform ekonomicznych, programem walki z samowolą „dwustu rodzin" rządzących życiem gospodarczym Francji. Nietylko z walką przeciw reakcyjnym politykom ze sztabu Hoovera, ale przede wszystkim z ekonomicznym programem obrony „człowieka z ulicy" przed gangsterstwem magnatów bankowo-finansowych z nowojorskiej Wallstreet — wystąpił w Stanach Zjednoczonych rooseveltowski „New Deal". I właśnie dlatego — we Francji i w Stanach Zjednoczonych zwycięża demokracja. Doświadczenia walczącej demokracji świata nakazują demokracji polskiej połączenie haseł ściśle politycznych z hasłami ekonomicznymi, z szerokim programem przebudowy ustroju.

Nakazują jej to i jej własne, wiekowe tradycje. Od pierwszych kroków demokracji w Polsce, od „Towarzystwa Demokratycznego" i „Gromady Grudziąż" z lat Wielkiej Emigracji aż po czerwoną i „zaraniarską" niepodległościową „Polskę Podziemną" ostatniego dwudziestolecia zaborów — właśnie na tej drodze szukała źródeł swej mocy myśl demokratyczna Polski. Tu właśnie, w powiązaniu politycznych haseł demokracji politycznej i narodowego wyzwolenia z codzienną walką chłopa i robotnika przeciw nędzy i wyzyskowi obcych i swoich łupiskórców. Od hasła uwłaszczenia w spiskach powstańczych, po przez Manifest Rządu Narodowego 1863 r., aż do odezw strajkowych lat 1904/1905 ciągnie się jedna myśl: aby Polska żyła i była wolna trzeba, aby człowiek pracujący w Polsce był nie tylko wolny, ale i syty.

Doświadczenia demokracji światowej, tradycje stuletniej walki wyzwoleńczej jednakowo wskazują nam na olbrzymie, decydujące znaczenie programu gospodarczego, programu przebudowy społecznej dla postępu demokracji polskiej.

P. S. Artykułem powyższym otwieramy serię studiów, które w szeregu najbliższych numerów EPOKI przyniosą analizę i krytykę naszej polityki gospodarczej a także rozwiną zarys programu gospodarczego, odpowiadającego założeniom i wymaganiom demokracji w Polsce.

REDAKCJA „EPOKI"

O ratunek dla mózgu!...

Od dawna na łamach pism demokratycznych odzywają się alarmy z powodu stanu szkolnictwa w Polsce. Ogromna większość społeczeństwa woła o upowszechnienie szkół, które tylko przez atawizm nazywają się „powszechnymi", o zwiększenie ilości izb szkolnych i etatów nauczycielskich, o uzdrowienie wreszcie stosunków w tej dziedzinie społecznego życia. Atak bowiem na szkolnictwo nasze prowadzony jest koncentrycznie z dwu stron. Z jednej ograniczenia ilościowe: coraz mniej stosunkowo dzieci znajduje miejsce na ławach szkolnych, coraz mniej synów robotników, chłopów i inteligencji pracującej przeciska się przez świadomie wznoszone bariery do gimnazjów i uniwersytetów. W parze zaś z tym idzie napór ciemnych sił na **jakość** nauki. Reakcja dąży do odebrania nauce tych wartości, które są jej główną racją bytu — podnoszenie ogólnej świadomości człowieka. Ciemnogród polski nie cofa się przed niczym, byle tylko zbliżyć się do upragnionego celu: podporządkować dyrektywom swoim szkołę i naukę. Zgodnie ze zwyczajami zamierzchłego barbarzyństwa usiłuje zatruć studnię, skoro nie może jej zasypać.

Dziś w związku z otwarciem wyższych uczelni,

zwrócić chcemy uwagę na jeden z ważnych odcinków kultury — odcinek więcej, niż zagrożony. Idzie o **rolę uniwersytetu.**

Wypadnie chyba wyjaśnić na wstępie, że nie mamy na myśli tej strony działalności wyższych uczelni, która polega na przygotowaniu fachowym tysięcy nauczycieli, lekarzy, prawników i inżynierów. Wypadnie przypomnieć, że uniwersytet jest nie tylko tym, za co go uważają starsi wujkowie i ciocie, martwiące się, czy aby ich siostrzeniec nie buja po knajpach zamiast siedzieć na wykładach i zdawać egzaminy na piątkę.

Uniwersytet jest (i być powinien) warsztatem naukowym, wielką kuźnią kultury, promieniującej nie tylko na pierwsze ławki audytorium — na dalszych słuchacze zajmują się najczęściej własnymi sprawami — ale na całe społeczeństwo. Uniwersytet, oprócz tysięcy przygotowanych do wykonywania zawodu, wypuszcza również dziesiątki pracowników naukowych, tych, którzy staną się kontynuatorami swoich nauczycieli, powiększą ich wiedzę o nowe, własne zdobycze. Uniwersytety są źródłami, z których wytryskują nowe prądy naukowe, nowe idee społeczne. Jeżeli mamy w Europie szereg uczelni wyższych, chlubiących się tradycją wielowiekową, to tradycja ta nie mierzy się zapewne liczbą wydanych dyplomów — mierzy się wartkością nurtu, jakim wolna myśl ludzka płynęła ku nowym odkryciom, ku nowym ideałom. Wyrazem sławy uniwersytetu było, że słowo rzucane z katedry sięgało poza audytoria, sięgało poza mury uczelni i nawet granice kraju, ściągało do sal tysiące słuchaczów nie tylko tych, którzy opatrzeni byli w karty wstępu ze świadectwem opłacenia ostatniej raty czesnego, ale i tych nawet, którzy w przejeździe zatrzymywali się na jeden dzień, aby usłyszeć głośnego profesora, aby posłuchać dyskusji zwolenników jakiegoś nowego kierunku.

Ta zapomniana rola uniwersytetu domaga się dziś wielkim głosem przypomnienia. Spustoszenia, jakie w tej dziedzinie dokonały się w ciągu ostatnich kilku lat są zaiste wielkie, tym większe, że młoda nasza kultura nie miała zbyt wiele do stracenia. Zjednoczone siły obskuranckie zatryumfowały na wyższych uczelniach. I nie na tym polega ich tryumf, że bezkarnie hulają bandy opryszków, nie na tym, że korytarze przybytków nauki zbyt często przypominają boiska — ale na tym, że władze uczelniane **pozwoliły narzucić sobie warunki, będące w gruncie rzeczy zaprzeczeniem wymagań oświaty, kultury i nauki.**

Weźmy dla przykładu jeden tylko teren, za to ważny: Uniwersytet Warszawski. Jeszcze kilka lat temu instytucja ta była terenem ożywionego życia umysłowego. Jeszcze kilka lat temu U. W. nie był dla mieszkańców Warszawy obcym krajem, do którego wstępu bronią umundurowani strażnicy. Był wtedy terenem, na którym mniej więcej swobodnie odbywała się wymiana myśli, skupiająca nie tylko młodzież akademicką ale i najszersze rzesze miłośników nauki.

Nie ma niestety danych cyfrowych, któreby unaoczniały zmiany w tej dziedzinie. Życie kulturalne nie da się ująć w ścisłą tabelę statystyczną, spróbujmy jednak dać obraz przybliżony.

Jeszcze w r. 1932 czy 33 wykłady uniwersyteckie przyciągały znaczną liczbę tzw. ludzi z miasta, inteligencji, pracowników naukowych, literatów i amatorów, którzy pogłębiali swą wiedzę w interesujących ich dziedzinach. Czynną działalność rozwijało około 5 kół naukowych (bierzemy pod uwagę najczynniejsze), niektóre z nich musiały podzielić pracę na szereg sekcyj, aby podołać mnogości wyłaniających się zagadnień i zużytkować licznie zgłaszane prace i referaty. W pracach tych studiujący szukali dróg zastosowania przyswojonych sobie metod badań naukowych, stawiali pierwsze samodzielne kroki. Tam skupiały się grupy przyszłych naukowców, uczonych, tam usiłowano samodzielnie rozwiązywać i wypracowywać to, co miało potem zostać uznane za nowe zdobycze nauki. Organizacje naukowe miały podwójne znaczenie: były warsztatami pracy młodego pokolenia uczonych, kształciły poza tym młodszych studentów, informowały szerokie rzesze zainteresowanych o tym, co dzieje się obecnie w danych dziedzinach nauki. Popularyzowały i szerzyły naukowe „nowinki", robiły to, czego z reguły (poza dziedzinami nauk ścisłych i przyrodn.) nie robią katedry oficjalnie.

W toku dyskusyj i walk (nie na kastety!) rodziły się nowe idee, nowe metody badań i moglibyśmy w wielu dziełach młodych uczonych odnaleźć wyraźne ślady toczonych przed kilku laty dyskusyj, rzuconych wówczas płodnych myśli.

Koła naukowe organizowały publiczne odczyty i wieczory dyskusyjne z udziałem najwybitniejszych przedstawicieli świata naukowego i literackiego. Odczyty te, poruszające aktualne zagadnienia naukowe, literackie i społeczne, przyciągały *tysiące* słuchaczy, których pomieścić nie mogły największe audytoria, wśród nich zaś przynajmniej połowa to żądni wiedzy ludzie z poza uniwersytetu. Właśnie nie członkowie tej lub owej korporacji akademickiej, lecz pragnąca rozszerzyć swój horyzont inteligencja pracująca oraz młodzież ta, której nie dane było osiągnąć godności studenta.

Wedle b. skromnych obliczeń w omawianym tu okresie (jakże stosunkowo szczęśliwym!) wykładów, referatów i odczytów wysłuchało na U. W. łącznie w ciągu roku ok. 20 tysięcy ludzi z poza uczelni. W naszych warunkach, kiedy dzieła naukowe wydaje się w 500 egz., kiedy wykłady wybitnych profesorów mają po trzech słuchaczów — cyfra to — naprawdę imponująca. Uniwersytet spełniał swoją rolę, do której powołało go społeczeństwo, panowała jeszcze wówczas *atmosfera pracy*. Tam, gdzie dziś słychać rozbestwione wrzaski oprawców i jęki ofiar — można było usłyszeć jeszcze wówczas dyskutujące gromadki młodzieży.

Ale Uniwersytet z r. 1936 niczym nie przypominał swego poprzednika z przed kilku zaledwie lat.

Pierwszymi jaskółkami nowego prądu na wyższych uczelniach były ograniczenia i utrudnienia władz wobec kół naukowych, decydujący zaś cios zadało im zarządzenie, pozbawiające absolwentów prawa udziału w pracach tych kół. Niezrozumiałe to zarządzenie odsuwało od uniwersytetu tych, którzy nam byli najpotrzebniejsi, tych, którzy najwięcej mogli dać. Odsunięto wszystkich magistrów i doktorantów, tych, którzy przede wszystkim oddziaływali na poziom życia naukowego. Miało to zarządzenie rzekomo położyć kres rozpolitykowaniu młodzieży, a położyło kres wszelkiej poważniejszej pracy. Pozbawiło naturalnego warsztatu pracy młodych naukowców

wyrządziło niepowetowane szkody ogółowi interesującej się nauką młodzieży.

Koroną wreszcie tej działalności było zamknięcie uniwersytetu dla wszystkich, którzy nie mają świeżo podstemplowanych legitymacyj i korporanckich czapek. Odcięto społeczeństwo od sal wykładowych, odcięto je również od *biblioteki* jednej z największych w Polsce, biblioteki, do której prawo ma każdy obywatel.

Pytamy w imię czego zburzono tę centralną w Polsce placówkę naukową? Boć naturalnymi mogą się wydać te zarządzenia tylko tym, dla których uniwersytet jest wyższą freblówką dla panien z dobrych domów, którzy patrzą na wyższe uczelnie jak na fabryki dyplomów, złotodajnych dla ustosunkowanych synów plutokracji.

Odpowiadają nam — śmiech wyznać — że zrobiono to dla dobra nauki, dla poskromienia burd.

Niszczy się więc naukę, tamuje jej rozwój, odcina od społeczeństwa, aby ją „ratować". „Oczyszcza" się atmosferę na uniwersytecie w ten sposób, że usuwa się tych, którzy chcą pracować. Dlatego, że stwierdzono w zajściach udział kilku jednostek z poza uczelni, zamknięto ją przed całym społeczeństwem.

Zdumiewać się trzeba jak najwykształceńsze głowy mogą mieć tak słabe pojęcie o *doborze środków do celów*. Społeczeństwo winno własnym kosztem zorganizować cykl wykładów specjalistów tego zagadnienia pp. prof. Kotarbińskiego i Krzeczkowskiego n. t. „Co robić, aby skutek osiągnięty był choć trochę podobny do zamierzonego".

Wymienione wyżej zarządzenia zniszczyły to, co trzeba było zostawić, nie naruszyły zaś tego co miały zniszczyć. Atmosfera pracy naukowej jest czymś tak dalekim od murów uniwersytetu, napastliwość cieszy się tak wielką bezkarnością, że niektórzy profesorowie zmuszeni byli przenosić prace seminaryjne do prywatnych lokalów. Przysłowie o dziecku i kąpieli znalazło ciekawe zastosowanie — wyrzucono dziecko, pozostawiono zaś brudną wodę.

Dziś wobec widma nowego roku akademickiego wysuwa się kwestia kontynuowania dotychczasowych metod. Doświadczenie wykazało, że łatwiej jest rozbić grupę dziesięciu dyskutujących naukowców niż dziesięciu pałkarzy. Łatwiej odebrać młodzieży warunki swobodnej pracy naukowej, niż pozbawić ją przedstawień tańców wojennych rozpasanych dzikusów. Nie dało się unieszkodliwić bojówek, zlikwidować chociaż bezradnych intelektualistów!

Jak dotąd wypełniano ściśle marzenia niepokonanego od czasów Saskich molocha obskurantyzmu: rzucono mu na żer najsmaczniejszy kąsek, mózg społeczeństwa — uniwersytety. Odtąd naukowy referat zastąpiony został plugawą ulotką, ścieranie się myśli i poglądów zastąpiły napady zbrojnych band na bezbronne jednostki. Społeczeństwo zaś, chwytające ongi promyki światła płynącego z murów uniwersytetu, skazane jest na jazgot ulicznych kolporterów „narodowych" świstków.

Sprawa jest najwyższej wagi. Idzie o przyszłość nauki i kultury polskiej, idzie o dostęp najszerszych warstw inteligencji do warsztatów tej kultury.

W imię tych celów domagamy się zarzucenia chybionych środków. Przywrócenie uniwersytetowi roli wszechnicy, przywrócenie warunków swobodnej działalności organizacjom naukowym, skupienie przy uniwersytecie całej młodej nauki polskiej — oto postulaty domagające się natychmiastowej realizacji. Urzeczywistnienie ich będzie zarazem potężnym ciosem w ciemne siły, sięgające po ster naszego życia kulturalnego.

W. K. Bieńkowski.

Z dnia na dzień

SKOK WSTECZ O 1000 LAT

Jedno z czasopism, wracając do słynnego w Berlinie spotkania dwóch dyktatorów, poświęca ciekawe uwagi obyczajowi i kulturalnej tego spotkania stronie: wytyka mianowicie ów kolosalny nawrót ku przeszłości, ku archaizmowi, uwidoczniony w ceremoniale przyjęcia; nawrót tak znamienny dla wszelkich ustrojów faszystowskich.

Ceremoniał, jakim witano i goszczono Mussoliniego w Berlinie, był istotnie jakby żywcem skopiowany ze wzorów, sięgających głębokiego średniowiecza. Bo cóż stanowiło jego motyw przewodni? Pokaz siły zewnętrznej, sprowadzonej do dwu najpierwotniejszych postaci: żelaznego oręża i złotego lub złoconego przepychu

„Ta demonstracja siły zbrojnej — czytamy *) — jako *clou* przyjęcia, ten widowiskowy charakter uroczystości, ten order, kapiący brylantami, — to wszystko typem i smakiem swoim cofa nas wstecz o tysiąclecia".

*) „Zwrot" nr. 9.

I snując ciekawą paralelę ponad lat tysiącem, to samo czasopismo przypomina pamiętny w dziejach Polski moment, kiedy w r. 1000-ym największy z Piastów, Bolesław Chrobry, podejmował u siebie w gościnie cesarza niemieckiego, Ottona III. Przyjęcie to, jak pisał współczesny a niechętny Chrobremu kronikarz niemiecki Thietmar, olśniło całą ówczesną Europę. A co się na nie złożyło? To samo mniej więcej, co uświetniło wizytę teraźniejszego władcy Rzymu w Berlinie. A więc: wspaniałe manewry wojskowe, wystawne bankiety, błyszczące kosztowności. Słowem — chrzęst żelaza i połysk złota. Tylko, że... było to tysiąc lat temu.

Było to na samym progu tego tysiąclecia, którego my oglądamy schyłek. Było to w czasach, kiedy bogactwo i siła zbrojna stanowiły jedyny miernik ludzkiego na ziemi znaczenia. Przez tysiąc lat jednak ludzkość, zdawałoby się, trochę przecież podrosła...

Tak, podrosła! Ale nie w osobie dyktatorów, którzy są niczym innym, jak uosobionym — ponad przepaścią wieków — skokiem wstecz.

„ZWROT" POD KROPIDŁO

Gdy się znajdzie jakąś trafną myśl w „Zwrocie", to trzeba dodać, że na łamach tego tygodnika jest ona zazwyczaj iskierką utopioną w mroku.

Istotnie, w całej atmosferze „Zwrotu" panuje jakaś zgęszczona ciemność. I gorzej, niż ciemność: panuje w nim zaduch umysłowy, jakby wyziew starej, zleżałej przeszłości, zatrutej własnym jadem i stłoczonej w ciasnym, ślepym zaułku. A ponad wszystkim — bałwochwalcza cześć dla episkopatu w jego najwsteczniejszych, magnacko - feudalnych formach i okazach; cześć tym bardziej swoista, że płynąca z doraźnych rachub politycznych. Aby rachuby te odsłonić, wystarcza stwierdzić, że na czołowego szermierza swobód politycznych w Polsce wystylizowano tam... biskupa Sapiehę!

Jak widać ideały polityczne, o które walczy „Zwrot", są obficie zroszone wodą święconą z kropidła ks. Kaczyńskiego, dyrektora K.A.P.

DEMOKRACJA A CHRZEŚCIJAŃSTWO

W artykule swym *Znicz demokracji* (p. poprzedni nr. EPOKI) Rzymowski podkreślił głęboki związek, łączący demokrację z chrześcijaństwem, które po raz pierwszy zjednoczyło i zrównało wszystkich ludzi w pojęciu powszechnego synostwa wobec swego Boga. Ono to bowiem, oblicze Boże ukazując nam w twarzy bliźniego, wszystkich ludzi — w zasadzie moralnej — uczyniło braćmi.

Tę samą tezę odnajdujemy w „Zielonym Sztandarze", naczelnym organie Stronnictwa ludowego, który stwierdza, że zagadnienie: dyktatura czy demokracja, to — nie tylko prawa polityki, ale i sprawa kultury moralnej. „Możnaby wyliczać — czytamy w tym organie — przykłady i dowody na to, że demokracja, głosząca ideę poszanowania człowieka i równości wszystkich wobec prawa, jest najbliższą idei chrześcijańskiej, przyznającej każdemu człowiekowi obywatelstwo i równość z innymi w obliczu Boga".

Uwydatnienie związku idei chrześcijańskiej z ideą demokratyczną jest niezmiernie ważne ze względu na to że daje nam niezawodny w czasach dzisiejszych instrument orientacyjny: kto, choćby najgłośniej reklamując swój chrystianizm, jednocześnie taranem bije w demokrację, ten napewno jest nie chrześcijaninem, tylko wilkiem w skórze chrześcijańskiej.

Otóż, istnieje w Polsce obóz, w którym wilków takich jest szczególniej dużo. Aby nie było wątpliwości, co to za obóz, organ Ludowców wskazuje go palcem: jest-to ten obóz, który

> **przywłaszcza sobie tytuł jedynego obrońcy chrześcijaństwa i katolicyzmu; który tak wiele potrafi pisać o ścisłym związku kultury polskiej z katolicyzmem; który tak wiele frazesów ma na ustach o ideałach narodowych, który jednak największą ilość śliny i brudu pluje w stronę demokracji. Najpierw zachłystywał się od pochwał dla faszyzmu włoskiego, w ostatnich latach stał się chwalcą i bezkrytycznym naśladowcą wzorów hitlerowskich. Obóz ten — to t. zw. obóz narodowy, to — endecja.**

Inteligencja miejska zna tę dwulicową postawę endecji oddawna. Dobrze, że dzięki „Zielonemu Sztandarowi", poznają i osądzą ją należycie i chłopi.

CZY MOŻNA WYRAŹNIEJ?

Jako środowisko bezładu i zastoju, endecja nie jest, sama przez się, niebezpieczna dla nikogo. Niebezpieczeństwem i to groźnym, staje się dopiero wskutek tego, że zaczerpnąć z niej może ideologię każda siła, poszukująca uzasadnienia dla tyranii.

Ongi czerpały z niej to uzasadnienie rządy zaborcze. Dziś czerpią z niej swą ideologię prądy faszystowskie. Niegdyś wspierało się na niej to, co ujarzmiało wolność narodu. Obecnie żywi się jej posiłkami to, co chce wolność narodu podkopać.

Posłuchajmy, co pisał niedawno główny organ endecji „Warszawski Dziennik Narodowy" o dyktaturze i demokracji:

> **Zamiast mówić o państwach totalnych, dyktaturach, demokracji i t. d., właściwiej jest mówić o państwach narodowych i o państwach, rządzonych przez masonerię. Państwa totalne i dyktatorskie to są w Europie dzisiejszej państwa narodowe; t. zw. wielkie damokracje to są państwa rządzone w myśl religii masońskiej i przychylne Żydom.**

Czy można w sposób wyraźniejszy podpisać się pod deklaracją hitleryzmu, a więc pod polityką walki z chłopstwem i całym światem pracy? A jednocześnie, reklamując pielgrzymki do Częstochowy, czyż można jawniej czcić antychrysta, zaklętego w neo-pogańskiej doktrynie rasizmu?

„CZAS" NA LANGERA!...

Rzadko zgadzamy się z „Czasem", rzecznikiem konserwatystów. Tym chętniej bierzemy za pióro, aby przyznać mu słuszność wtenczas, gdy ją ma.

A ma bezsporną słuszność, dając ciętą odprawę p. Antoniemu Langerowi, który odkąd stracił mandat „zawodowego" posła do sejmu, stał się wiecznym kandydatem do posad; wskutek tego korzysta z każdej okazji, aby fałszywe prawić pochlebstwa tym, którzy posady rozdają.

Wie on, jak dalece w chwili obecnej premiowana jest na giełdzie politycznej każda opinia, rzucona na rzecz t. zw. jednoczenia narodu, propagowanego nie jako środek do realizacji pewnego celu, lecz — po endecku — jako cel sam w sobie. Pan Langer, słysząc, że inni na szerzeniu tego hasła robią karierę i jeżdżą już własnymi samochodami, spróbował pokazać, że i on nie jest gorszy, i wystąpił w „Kurierze Porannym" ze swoistym poglądem na stosunki, panujące wśród młodzieży akademickiej. Że na terenie wyższych uczelni nie wszystko jest w porządku, temu p. Langer nie przeczy. Ale przyczyny zła nie szuka tam, gdzie ona istotnie leży. Przyczynę zła widzi on w tym, że „idea zwartej jedności nie zapuściła jeszcze dostatecznie korzeni w duszy narodu polskiego".

— Obawiamy się — odpowiada na to *Czas* — że idąc śladem rozumowania p. Langera, musielibyśmy długo czekać na przywrócenie normalnych stosunków w wyższych uczelniach. W dalszym zaś ciągu tenże dziennik stanowczymi słowy demaskuje nicość abstrakcyjnej frazeologii, którą zresztą nie on wymyślił, a którą osłania się dzisiaj każdy faszysta:

> **Idea zwartej jedności sama przez się nic nie znaczy. Jest frazesem pozbawionym konkretnej treści. Dążenie do jedności w imię samej jedności jest hasłem bez sensu. Dążenie do jedności w imię konkretnych dążeń politycznych jest celowe, acz niemożliwe w sensie integralnym. Niestety, pan Langer tego nie rozumie i traktuje jedność jako cel sam w sobie.**

Tę pogoń za abstrakcyjną jednością, w której wszystkie barwy przekonań zatarłyby się i utonęły w powszechnej szarzyźnie *Czas* uważa za zjawisko znamienne dla ludzi bez charakteru; dla ludzi, którzy przechodzili, jak p. Langer, metamorfozy polityczne i którym jest wygodniej, by życie polityczno-społeczne i związane z nim najważniejsze zagadnienia zawisły w próżni.

KAZANIE ŚWIĘTOSZKA

Po rozwiązaniu przez władze zarządu Związku Nauczycielstwa Polskiego ks. Kaczyński, dyrektor Katolickiej Ajencji Prasowej (K.A.P.) ogłosił, imieniem episkopatu, komunikat, którego treść jest tak znamienna, że zasługuje na upamiętnienie w jak najszerszych kołach świata pracy, jako dokument aktualnej polityki kościoła rzymskiego w Polsce.

Oto tekst komunikatu:

„Odsunięty od władzy i możności dysponowania funduszami ZNP zarząd tej instytucji zapowiada zaskarżenie rozporządzenia władzy administracyjnej i szuka oparcia w lewicowych związkach zawodowych w imię wolności koalicji i ruchu zawodowego... Wątpić jednak można, czy będzie to skuteczne. Społeczeństwo katolickie, obserwując z niepokojem działalność zarządu ZNP, zmierzającą do radykalizacji nauczycielstwa polskiego i do usunięcia ze szkoły zasad wychowania religijnego, domagało się od dawna uporządkowania tych niezdrowych stosunków w głębokim przekonaniu, że ogół nauczycielstwa nie podziela dążeń p. Kolanki i jego sztabu, zapatrzonych we wzory zmasonizowanego nauczycielstwa we Francji. Kierownicy zarządu Związku mieli jednak swoje środki i sposoby utrzymywania mandatów członków zarządu mimo protestów masy nauczycielstwa. Wreszcie przebrała się miarka. Nie jesteśmy zwolennikami rządów komisarskich w instytucjach społecznych i spodziewamy się, że p. Musiał po uporządkowaniu spraw ZNP nie omieszka jak najszybciej doprowadzić do wyborów

nowego zarządu, odpowiadającego woli członków Związku i jego celom właściwym, i że nie dopuści, by działalność ZNP przybrała znowu charakter polityczny. Chcemy również wierzyć, że p. kurator Musioł mówiąc: „Zadaniem szkoły jest wychowanie dzieci zgodnie z duchem moralnym i ideowym całego narodu" — miał na myśli wychowanie religijne, wymagane przez społeczeństwo katolickie i nakazane przez prawodawstwo Rzpltej."

To namaszczone kazanie świętoszka nie wymaga chyba komentarzy!...

„WSTYD, PANIE REKTORZE!"

Osławione dziś „zarządzenia ławkowe" wprawdzie powitane zostały tryumfalnym śpiewem przez większość organów wojującej reakcji, ale z drugiej strony spotkały się także z odruchem oburzenia i pogardy całego światłego ogółu polskiego. Ogół ten odczuł wprowadzenie „ghetta" do przybytków nauki jako policzek, wymierzony kulturze polskiej i jako przejmowanie tych haniebnych wzorów obcych, z którymi nigdy się nie godziła i nigdy się nie pogodzi cała wolnościowa i demokratyczna Polska.

Zewnętrznym wyrazem tego właśnie stanowiska są już listy otwarte, skierowane do rektora Politechniki Warszawskiej, który pierwszy wprowadził do tej uczelni owe zarządzenia. Znany i zawsze wierny ideom sprawiedliwości pisarz, Wacław Rogowicz, w liście swoim, między innymi, oświadcza:

„Przez stworzenie „ghetta" w polskiej szkole akademickiej pierwszy przyłożyłeś rękę do wzbudzenia wśród kulturalnych narodów Zachodu krzywdzącego Polskę podejrzenia, że przestała ona już do nich należeć.

Twoja małoduszność w pojmowaniu obowiązków, jakie piastowana przez Ciebie godność wkłada na przedstawiciela nauki, zmusza mnie, Twego ciotecznego brata, do tego, by odtąd przestać Cię uważać za swego krewnego, a, jako Polaka, europejczyka i niezależnego pisarza, do przesłania Panu, Panie Rektorze, wyrazów mego szczerego i głębokiego oburzenia".

Wielce zaś zasłużony i pełen poświęcenia ideowego obrońca polityczny, adw. Wacław Szumański, przypomniawszy temuż rektorowi pewne wspólne przeżycia historyczne, tymi słowami swój list kończy:

„I oto „zarządzenie ławkowe", które niewątpliwie „zdobędzie Panu smutną sławę w Wolnej Polsce".

Odstąpił Pan z taką łatwością od sztandaru demokracji, — dał się Pan porwać sztandarom „korporacji akademickich", — które przecież w porównaniu z wielkim sztandarem demokracji są bibułkowymi chorągiewkami, którymi — bez budzenia uśmiechu politowania bawić się mogą z powodzeniem bezzębne niemowlęta.

Mam prawo moralne wytknięcia Panu zdrady sztandaru demokracji, gdyż pod tym sztandarem walczę niezmiennie od lat 35, — od ław uniwersyteckich, które Pan obecnie postanowił przeselekcjonować, a przez to „przyłożył Pan rękę do wzbudzenia wśród kulturalnych narodów Zachodu krzywdzącego Polskę podejrzenia, że przestała ona już do nich należeć" — jak to słusznie zaznacza w swoim liście kol. Rogowicz.

Wstyd, Panie Rektorze, b. demokrato".

Wincenty Rzymowski

Dożynki Warszawskie 1937 r.*)

ŚWITALSKI

BYŁY PREMIER, MINISTER, BYŁY WOJEWODA:
DAWNYCH RZĄDÓW MAJOWYCH TANIEC I URODA.
DZIŚ ANTYKWARIUSZ SPŁOWIAŁYCH TYTUŁÓW:
ZOSTAŁY MU — RAKIETA, DWIE NOGI I TUŁÓW.

MIRIAM

NIEKTÓRZY CZCZĄ W NIM MAGA
ALBO DRUIDA
INNI MÓWIĄ: TO — KAMIEŃ NA GROBIE NORWIDA!
JESZCZE INNI WOŁAJĄ: BLAGA!
A JESZCZE INNI: POZA!
A JA POWIADAM: POCO TYLE KRZYKU?
POPATRZCIE: WSZAK TO TYLKO SKLEROZA
NA ŚWIECZNIKU.

KS. CHOROMAŃSKI

CO NIEDZIELĘ
W KAPLICY OLCHOWICZÓW KAZANIE WYGŁASZA.
MÓWIĄ PRZYJACIELE,
ŻE W TEN SPOSÓB SAM W SOBIE NAWRACA JUDASZA.

LECHOŃ

BYŁ CZAS, ŻE OGNIEM WYBUCHAŁ I DYMEM
KARMAZYNEM BIŁ POD NIEBIOS SZRANKI.
DZIŚ OGIEŃ STRACIŁ, LECZ ZYSKAŁ ESTYMĘ
I — FRANKI.
WIĘC RZADKO TYLKO I O PÓŹNEJ PORZE,
GDY WINO CEDZI ZE SZKLANKI,
SKARŻY SIĘ, PATRZĄC W ŚWIATŁA NA SEKWANIE:
„ŻEM SIADŁ NA DUCHA WŁASNEGO UGORZE.
SMUTNO MI, BOŻE!
CHOĆ MI TAK MOJĄ TY ZŁOCISZ OBROŻĘ,
CHOCIAŻ MI MOJE ZŁOCISZ PRÓŻNOWANIE,
SMUTNO MI, PANIE
AMBASADORZE!

KSAWERY PRUSZYŃRKI

UŻYWA SŁÓW SKRZYDLATYCH
NIE SZCZĘDZI BARW ZŁOWROGICH:
PISZE ZAWSZE O DOLI UBOGICH
I ZAWSZE NA POŻYTEK BOGATYCH.

*) Poprzednie serie „Dożynków" w n-rach 17, 18, 19.

TADEUSZ BREZA

CISZA, WŁADAJĄCA PIÓREM...
MYŚL, SNUJĄCA ARABESKI...
SAMOTNOŚĆ, TĘSKNIĄCA ZA CHÓREM...
NIEWIADOMO: CZŁOWIEK CZY MIGDAŁ NIEBIESKI?

ANTONI SŁONIMSKI

NIECH INNI BĘDĄ KOWADŁEM LUB MŁOTEM,
JA WOLĘ HARCE NAD BZDURĄ.
NIECH INNYCH TRAWIĄ ROZPACZE LUB SZAŁY,
NIECH WALCZĄ ALBO NIECH LEGNĄ POKOTEM:
NIE DLA MNIE TAKIE KAWAŁY!
JA ZAWSZE Z OPRESJI UJDĘ DZIURĄ, DZIURĄ
I WZLECĘ — JAK BALONIK — GÓRĄ, GÓRĄ, GÓRĄ!

K. WIERZYŃSKI

NIEGDYŚ MU W GŁOWIE KWITŁY FIJOŁKI,
SZUMIAŁY WIOSNA I WINO,
W OCZACH IGRAŁY ANIOŁKI
BARWNE JAK MOTYLE.
ROK CAŁY JEDNĄ UPŁYWAŁ GODZINĄ...
MIAŁ COŚ Z FIJOŁKA, ANIOŁKA, MOTYLKA:
ACH, GDZIEŻ SĄ TE CHWILE?
DZIŚ CHŁOP MA WIOSEN JUŻ CZTERDZIEŚCI KILKA.
WIĘC KAŻDY PYTA I CIEKAWIE WOŁA:
A CÓŻ WYROSŁO NAM Z TEGO FIJOŁA?

KS. KACZYŃSKI

ZA CNÓT UPRAWĘ I DUCHA KIERUNEK
ZASKARBIŁ SOBIE KSIĄDZ DYREKTOR KAPU
ŁASKĘ U BOGA, U LUDZI — SZACUNEK.
TU NA TYM ŚWIECIE CZEKA GO PAPU,
NA TAMTYM — OPIERUNEK.

(c. d. n.)

Dzieje dawne a jednak wciąż nowe...

(Dokończenie)

III.

Z początkiem lata 1778 r. rozpoczęto drukować „Zbiór praw" w słynnej warszawskiej „oficynie" Grölla. Praca odbywała się w największej tajemnicy. Wyznaczony przez króla specjalny odbiorca podejmować miał kolejno wychodzące z pod prasy arkusze. Dziwną może się wydawać ta ostrożność głowy państwa we własnej stolicy i w stosunku do pracy nad reformą prawa krajowego, dziwna ta niemal konspiracja działań, interes rzeczy publicznej mających na celu. Była ona jednak — jak się okazało — tyleż potrzebna co i nieskuteczna. Ktoś, czujny i wpływowy, zbyt bacznie śledził losy reformatorskiego przedsięwzięcia. Tym „kimś" był nuncjusz papieski w Warszawie, Archetti. Odbitki drukujących się arkuszy „Zbioru" odrazu znalazły się w jego rękach. Przełożone na język włoski teksty artykułów i paragrafów, dotyczących duchowieństwa i kościoła, przeraziły watykańskiego ministra, gdy znalazł w nich — jak sam odrazu zaraportował do Rzymu — „postanowienia nieprawne i przeciwne prawom Soborów i Kościoła, uwłaczające powadze Stolicy apostolskiej i jurysdykcji nuncjatury, wynikające z nich dla duchowieństwa szkody i naruszenie kościelnej *immunitas*"...

To wystarczyło. Przed nuncjuszem stanęło zbożne zadanie: w imię watykańskiej „racji stanu" nie dopuścić za wszelką cenę do realizacji nowego kodeksu.

Pierwszym w tym kierunku zabiegiem była próba wpłynięcia na Zamoyskiego, aby usunął że „Zbioru" wszystkie dotyczące spraw kościelnych ustępy. Exkanclerz jednak udzielił odpowiedzi wymijającej, która wcale nie uspokoiła nuncjusza, przeciwnie, raczej wzmogła jeszcze jego obawy. Z kolei zwrócił się Archetti z interwencją do króla. Lecz i z tej strony również nie zdołał uzyskać poparcia. Stanisław August, gorący, choć dyskretny protektor pracy Zamojskiego, zasłaniał się uchwałą sejmu i „wolą narodu", która jedynie władna jest decydować o losach projektu. Oświadczył, iż obowiązkiem jego, jako głowy państwa, jest „nie przeszkadzać, aby Rzeczypospolita sama rozważyła to, co mogłoby być dla niej pożytecznem lub szkodliwem w konstytucji cywilnej i politycznej". Najzręczniejszym argumentem królewskim było stwierdzenie, iż *zmiany, jakie w stosunkach kościelnych wprowadzał kodeks Zamojskiego, skromniejsze były znacznie i bardziej umiarkowane od tych, które — za cichą lub wyraźną zgodą Watykanu — zaprowadzone już zostały w innych katolickich krajach!* „Wszystko to — brzmiały dosłownie wywody króla — *co się dzieje we Francji, Hiszpanii, w państwach austriackich, w samych Włoszech tuż pod okiem Rzymu, w Wenecji, Turynie, Toskanii, Neapolu, dlaczegóż miałoby być wzbronione jedynie w Polsce?*".

Argument był głęboko słuszny i oparty na prostym poczuciu nietyle może prestiżu państwowego, ile zwykłej sprawiedliwości; nie uwzględniał atoli jednej rzeczy: tego, że Watykan zwykł — mówiąc słowami Goszczyńskiego — „poniżać się tylko przed mocniejszym", wobec słabego natomiast zawsze stosował twardą, despotyczną rękę. Słabość państwowa Rzeczypospolitej, płynąca ze słabości jej struktury wewnętrzno - ustrojowej i socjalnej, była dla interesów kościoła w Polsce najpewniejszą rękojmią ubezpieczającą. Losy kodeksu Zamojskiego okazały to aż nadto dowodnie.

Po audiencji na zamku doszedł Archetti do przekonania, że trudno mu będzie w samym obozie „reformy" uzyskać jakieś poważniejsze ustępstwa w najżywiej obchodzących go punktach kodeksu.

Równocześnie instrukcje, jakie w tej sprawie otrzymał z Rzymu, brzmiały bardzo kategorycznie. Watykan odrazu postawił sprawę zasadniczo: nie wdawać się w żadne pakty czy kompromisy w sprawie „wrogich" ustaw, lecz dążyć wszystkimi sposobami do ich zupełnego obalenia. Dla skutecznej akcji w tym kierunku należało więc rozglądnąć się za sojusznikami. Ówczesna rzeczywistość polska sama dostarczyła ich nuncjuszowi.

Czynnikiem, który przede wszystkim należało brać pod uwagę, była przeważna większość społeczeństwa szlacheckiego. W nowym kodeksie, obok

postanowień wzmacniających władzę królewską, znajdywały się również ustępy, *łagodzące cokolwiek położenie chłopów* i wogóle stanów nieszlacheckich. Jedne i drugie musiały spotkać się z oporem każdego sejmu. Atoli opór ten, w razie gdyby projekt kodeksu wszedł pod obrady sejmowe, sam przez się nie przesądzał jeszcze losu tych ustępów „Zbioru", które dotyczyły spraw kościelnych, zwłaszcza, że dążność szlachty do ograniczania nadmiernych przywilejów duchowieństwa zawsze była w Rzeczypospolitej dość żywa i popularna. W tym stanie rzeczy obalenie całości dzieła Zamojskiego bez wprowadzania go na zawsze niepewne i nieobliczalne w szczegółach flukta dyskusji sejmowej uznał nuncjusz za najbardziej pożądane — ze swego stanowiska — rozwiązanie sprawy.

I na tej właśnie drodze interes watykańskiej „racji stanu" spotkał się i sprzymierzył z interesami drugiego, obok szlachty, czynnika anarchii w Polsce: *z interesami państw zaborczych.* Dwie dyplomacje, w poczuciu łatwo wzbudzonej solidarności, podały sobie dłonie. W sierpniu 1778 r. poufną wizytę składa Archettiemu „najwpływowszy człowiek w Rzeczypospolitej" ambasador rosyjski Stackelberg i deklaruje nuncjuszowi swoje współdziałanie w dążeniu do obalenia „Zbioru praw". A nieco wcześniej sam Archetti w tymże duchu „uzgodnił się" z warszawskim posłem dworu wiedeńskiego von Rewitzky'm...

Przebieg tej typowej „obco-agenturowej" akcji w najkrótszym zarysie był następujący:

W okresie sejmików wyborczych przed sejmem 1778 r. podjął nuncjusz, głównie za pośrednictwem mnichów, usilną agitację wśród szlachty wszystkich województw, zmierzającą do wyboru większości takich posłów, którzyby zapewnili gwałtowną przeciw nowemu kodeksowi opozycję. „Mieliśmy — wspomina Wybicki w swym pamiętniku — od bardzo słusznego kapłana zapewnienie, iż nuncjusz potajemnie niektórym zagorzałym mnichom nakazywał, aby przez swoje kanały wcześnie umysły przeciw temu praw zbiorowi jako kacerstwem zarażonemu podburzali". Atoli bieg wypadków przekreślił — narazie — obliczane przez nuncjusza skutki tej mniszej agitacji. Król, wiedząc co się święci, a biorąc pod uwagę okoliczność, że sejm 1778 r. był „wolny", czyli że obradował pod niebezpieczeństwem zerwania przez „*liberum veto*", niespodzianie odroczył wniesienie kodeksu, pod pozorem, iż projekt tak doniosły winien być wprzód udostępniony ogółowi obywateli i poddany ich spokojnej, gruntownej rozwadze. W rzeczywistości Stanisław August w obawie o los reformy chciał po prostu odsunąć jej ostateczne załatwienie do szczęśliwszej — jak mniemał — konstelacji następnego sejmu, w r. 1780 zebrać się mającego. Miał to być sejm „konfederacyjny", na którym przy wywołaniu odpowiedniego nastroju wśród większości posłów prędzej można było liczyć na uzyskanie pożądanych uchwał.

Rzecz jednak miała potoczyć się inaczej. Rozbudzona przez agitację mniszą opozycja przeciw „Zbiorowi praw" nie przestawała działać „w terenie", wśród szlachty. Rezultat sejmików wyborczych, odbytych przed sejmem 1780 r. wypadł bodaj fatalniej dla losów reformy, niż w r. 1778. Posłowie wielu województw otrzymali ostre instrukcje, stanowczo skierowane przeciw nowemu kodeksowi. Ambasador Stackelberg jawnie oświadczał, że nie dopuści

„Zbioru" pod obrady; podobną wolę objawiał niedwuznacznie dwór wiedeński, inspirowany z Watykanu. Widoki dla autorów kodeksu były tak nikłe, iż sam Zamojski uchylił się od obrony swego dzieła wobec sejmu, a najdzielniejszy z jego współpracowników Wybicki, który w tym celu ubiegał się o mandat, przepadł na sejmiku w Środzie.

2 października 1780 sejm został otwarty. Sprawy nowego kodeksu nie było jednak na porządku sesji. Król bowiem zorientowany, że i tym razem nie zdoła jej przeprowadzić, wolał rzecz znowu przemilczeć, przeczekać. Atoli — zgoła niespodzianie — już w pełnym toku obrad wpłynął nagle wniosek tronowy o powołanie komisji dla rozpatrzenia i ewentualnego poprawienia projektu Zamojskiego. Ten, w pobudkach i intencjach dość niejasny krok króla uczyniony był, jak się zdaje, pod wielce chytrym natchnieniem ze strony Stackelberga, któremu taktyka przewlekania sprawy, stosowana przez Stanisława Augusta, nie była na rękę; dwór petersburski domagał się radykalnego i definitywnego zlikwidowania całej sprawy.

Dwa dni trwała dyskusja w izbie sejmowej nad wnioskiem królewskim. Nie padło w niej bodaj jedno pozytywne dla dzieła Zamojskiego słowo. Jedynie i wyłącznie spierano się o formułę pogrzebania go raz na zawsze i nieodwołalnie. Wreszcie, na posiedzeniu w dniu 2 listopada sejm jednomyślnie, wśród wielkiej wrzawy, uchwalił rezolucję, która, kurtuazyjną wyraziwszy wdzięczność Zamojskiemu „za podjęte prace około „Zbioru Praw", postanawiała, iż „skoro w takowym Zbiorze nie znajdujemy dogodzenia zamiarom Naszym na Sejmie 1776 wyrażonym, tenże Zbiór Praw wyż wspomniony *na zawsze uchylamy i na żadnym Sejmie aby nie był wskrzeszony mieć chcemy*".

IV.

Taki miał przebieg i tak się smutnie zakończył jeden z najbardziej znamiennych epizodów upadku Rzeczypospolitej. Podkreślamy jeszcze raz: próba reformy ustrojowej, cząstkowej zresztą i raczej umiarkowanej, zdławiona została sprzymierzonym wysiłkiem trzech czynników: rodzimej szlacheckiej reakcji, dworów zaborczych i dyplomacji rzymskiego kościoła. Ten ostatni w osobie swego przedstawiciela nuncjusza Archettiego bezspornie odegrał rolę głównego grabarza „Zbioru praw sądowych".*) Albowiem

— jak powiedział Goszczyński — „szczyt katolicyzmu ma gabinet podobny innym gabinetom... W żadnym niebezpiecznym położeniu nie można na niego rachować". W dniach upadku niepodległości „arcykatolickiego" narodu dyplomacja kościoła nietylko nie była oparciem i sojusznikiem jego wolności, ale — wręcz przeciwnie — w zmowie z dworami ościennymi, a w interesie swych niezmiernych przywilejów i majątków zwalczała całą potęgą swego wpływu najsłabsze bodaj próby reform, próby postępu, próby odnowy i przebudowy społeczno - państwowej.

Jakże to wszystko jeszcze dzisiaj żywe i przerażliwie aktualne: dzisiaj, gdy — w identycznych niemal okolicznościach! — przeżywa swą tragedię równie „arcykatolicki" naród Basków...

VI.

A oto jeszcze jeden godny zaznaczenia szczegół przypomnianego w tym szkicu epizodu dziejowego:

Przesyłając do Watykanu odbitki „Zbioru praw" nuncjusz Archetti dołączał swoje uwagi do poszczególnych artykułów i paragrafów. Przy artykule XXXI, zatytułowanym: *„O chłopach"*, zamieścił następującą notatkę:

„Arkusze kodeksu Zamojskiego, jakie tym razem przesyłam, o *ile mogą bardzo obchodzić szlachtę, której władzę nad włościanami w art. XXXI znacznie ograniczono i ścieśniono, o tyle dla nas są obce i obojętne*".

„Obce i obojętne"! Trudno byłoby w jednym zdaniu więcej objawić zbożnego cynizmu. Tam, gdzie chodziło o obronę własnego przywileju kastowego, własnych majątków i dochodów, o egzekwowanie na ubogiem społeczeństwie własnej świetności doczesnej — tam żadna droga nie była zbyt podła i żaden sposób zbyt nikczemny, tam cel uświęcał wszystkie zabiegi i środki. Ale gdy szło o ciężki los uciskanego chłopstwa, o próbę ulżenia masom pańszczyźnianego ludu, tego ludu, którego sławiona pobożność służyła za fundament ziemskim splendorom kościoła — wówczas dostojnik rzymski, wysoki przedstawiciel „stolicy Piotrowej", gestem piłatowej neutralności umywając ręce tylko dwa słowa miał do powiedzenia: „Obce i obojętne"!

Dwa słowa, które do dziś dnia wyznaczają prawdziwy stosunek kościoła do gnębiącego ludy zła społecznego.

Leon Kruczkowski.

*) Stwierdza to zupełnie wyraźnie **ksiądz** Mieczysław Tarnawski, autor wydanej w r. 1916 we Lwowie obszernej monografii pt. „Kodeks Zamojskiego na tle stosunków kościelno państwowych za czasów Stanisława Augusta", pracy źródłowej i stosunkowo obiektywnej.

Róże dla Safony

Po *Śpiącej załodze*, po *Balecie powojów*, przychodzą *Krystalizacje**) w szczerozłotym łańcuchu nowe złote ogniwo. Każdy tomik wierszy Marii Jasnorzewskiej jest darem świeżego, tkliwego piękna. Tomik ostatni jest darem wyjątkowo rzadkim, gdyż piękno tego wnętrza duchowego, które w nim żyje, jakkolwiek zamknięte w sobie i niezbyt rozległe, niezmącone jest żadnym elementem służb postronnych; jest samo dla siebie: kolorowe i czyste, nieskalane i pałające, jak tęcza.

Krystalizacje narodziły się pod znakiem odwiecznego kultu do bóstw nieśmiertelnych — słońca i miłości: miłości, która oddaje się słońcu i której natchnione wcielenie Jasnorzewska znalazła w starohelleńskiej poetce — Safo. Głos Jasnorzewskiej płynie do nas tym razem — rzekłbyś — z pod niebios dawnej, boskiej Hellady, ponad otchłanią wieków łącząc światy i serca dalekie, a jednak tak bardzo bliskie.

Budda głosił naukę swoją bez nadziei,
Ezechiel z Jeremiaszem ciskali gromami
Na żądze ludzkie, hienom podobne i wilkom,
Wielki Sokrates myślał, wojował Psammetych
Z Assyrii lwem, o śmiercią ziejących gardzieli,
Gdyś ty, blada i w loków ozdobna ametyst,
Śpiewała, ku Plejadom, o miłości tylko...

Na pięćset lat przed naszą erą, nad zielonym Lesbosem, eolijską wyspą w północno-wschodnim kącie Archipelagu, „rozbiła się bania z poezją": powstała tam pieśń nowa, nieznana przedtym, owa pieśń liryczna, która po dzień dzisiejszy jest najczulszą, najosobistszą struną ludzkiego serca. Stolica tej urodzajnej niegdyś wyspy, słynna Wielka Mitylena, będąca kolebką pieśniarza walki Alceusza, była także kolebką nieszczęśliwej pieśniarki róż i miłości — Safony.

Jak śmiałaś pisać o różach,
Gdy historia płonęła
Jak bór w letnim skwarze?

Jak śmiałaś?... Jak śmiesz?... Oto narzutliwe pytanie, z którym polityka i ekonomika życia zwraca się do poezji, czyniąc jej zarzut ze swobody lotu i bezinteresowności przeżyć: z tego, co jest właśnie jedyną jej istotą i naturą. W każdym określonym momencie poezja wydaje się lekkomyślnym i rozrzutnym zbytkiem, wykwitającym na marginesie rzeczy od niej ważniejszych. Wydaje się chimerą, igraszką, bytem jednodniowym, kroplą rosy, wypijaną przez skwar letni o wschodzie trzeźwego dnia pracy, znoju i pożytku.

Czym-że były pieśni Safony wtenczas, gdy w swej ojczystej Mitylenie

Obca jasnym, gajowym i nadmorskim bożkom
— — — — — — — — — — — —
Zaopatrzona w Plejady, wschodzące w niebiosach

upadała pod ciężarem łez, przetopionych w słodko-gorzkie akordy? Czym-że te pieśni były wobec mocarstwowej racji stanu Psammetycha, wobec orężnych trofeów władców asyryjskich?

A dziś? Kędyż są mocarze Egiptu? Gdzież — lwy Asyrii?

*) *Maria Jasnorzewska (Pawlikowska):* „Krystalizacje". Pod znakiem poetów. Seria nowa. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1937.

Dziś, w bibliotekach, kustosz
Cykl dziejów odkurza,
A za oknem — wiosennie powrotna,
Safo śpiewa słowikiem
Jak jej serce każe.

Runęły trony władców; pustynie rozpostarły się tam, gdzie się piętrzyły mocarstwa: — pieśń uszła cało: I od fali zapomnienia uratowało się to tylko, co ona wzięła na swe skrzydła. Niekiedy są to wielkie, spiżowe imiona, niekiedy błahe człowiecze znikomostki, uwiecznione tym, że spojrzała na nie — poezja.

Tak wyrwane z nicości, płynie przez wieki imię Faona, wplecione w strofy namiętnej Lesbijki. Faonem czyli „gwiazdą zaranną" nazwała Safo swego wybrańca, „gdy jej Eros serce przeszył na wskroś":

Pokochała niejakiego Faona,
Żeglarza urody przedniej,
Który, choć młody,
Lecz nienawidził liryki,
W szczególności safickiej ody.

„Es ist eine alte Geschichte".. Ta starodawna historia, o której śpiewał Henryk Heine, jest naprawdę bardzo stara i dawna, skoro snuła się już i krwawiła w pieśniach Lesbosu. „Ona" go pokochała, lecz „on" zakochał się w innej... Nie odgadnął, nie poznał, nie ocenił jej duszy słowiczej: jakże, zresztą, miał ją ocenić, skoro każdy mierzy innych swoją miarą własną?

Safo śniada, Safo długooka,
Drobna i niepozorna jak zwykle słowiki!
— — — — — — — — — —
Jakżeś ubogą była, siostro, przed nim,
Ty, coś demonów usidlała tylu!
Jak pokorną w jego ramionach!
Ach, bo czym byłby słowik bez swojego trylu,
Słowik w oczach głuchego?

Słuchajmy pilnie, nie lekceważmy tych słów żalu, bo to imieniem i losem Safony żali się Jasnorzewska a przez usta Jasnorzewskiej woła sama poezja w odwiecznym boju z głuchoniemą gliną bezczucia i bezmyślności:

Czym jaśminy, nardy,
I fijołki
Pozbawionym węchu lub beznosym?
Czym dla śpiących ułuda księżycowej nocy
Oplecionych zefirową szarfą?
Safo!
Natchniona!
Więc się i doczekałaś zasłużonej wzgardy
Niejakiego — Faona.

Gdy spełnienie marzenia jest niedostępne, gdy bólu uśmierzyć niepodobna, bo męką i bólem stało się samo istnienie, cóż pozostaje człowiekowi? Pozostaje to jedyne i ostatnie lekarstwo, które leczy wszystko: śmierć. Więc lekarstwa tego poszuka i Safo, rzucając się w morze z urwiska Leukady.

Poetka, samobójczyni,
Loki rozwiawszy fijołkowe,
Nad wodą stoi!...
„Safo, co chcesz uczynić?"
— „Chcę morze zarzucić na głowę,
By nikt nie widział łez moich...".

Los, dramat życia i czar pieśniarki helleńskiej urzekł tak głęboko poetkę polską, że myśl żywej splotła się ze wspomnieniem umarłej. Potęgą wiary poetyckiej wskrzesza ją i woła ku sobie, wespół z nią zwiedza ruiny przeszłości, idzie w głęboką noc minionych stuleci, jakby w poszukiwaniu wspólnej, zagubionej ojczyzny.

Myślę o tobie, Safo,
Tu, u wrót Hellady,
Gdzie mnie noc gwiarzdomorska
Z przeszłością jednoczy...
Zrywam dla ciebie kilka róż,
Gwiaździstych, bladych —
„A słodszy zapach róży
Gdy zerwana w nocy...".

Chwilami znika „długi wieków przedział": znika granica dwóch osobowości: Jasnorzewska czuje w sobie jakby dech czy duch „tamtej", czuje się słowikiem Mityleny.

Gdy świat Safonę odrzucał,
Gdy jej dorobek palono,
Buchnęły dymy różane;
Ociężałą, chociaż szaloną
Chmurą, płynęły przez czas.

Wciągnęłam ją z wiatrem w płuca:
Poezja nie poszła w las.

Wtenczas to, w tym spotkaniu czy stopieniu się dwóch dusz i dwóch krain ponad odmętem czasu, rodzą się wiersze tak lekkie i świetliste a zarazem tak pełne zadumy, tak z głębi krwi gorącej wyjęte, tak dolą ludzką nabrzmiałe, jak prześliczne „Epitafium zakochanej", lub te dwie strofy, zdawałoby się dorywcze, a przecież tak doskonałe w swym umiarze i harmonii:

Nad wodą ławka, trawą porosła
Jak zimna płyta mogiły...
Tu, dwoje imion, dwaj zakochani
Wyryli w podpis zawiły.

Tutaj siedzieli, patrząc na siebie...
Może nie żyją w tej chwili?
A jeśli żyją, kochając innych,
To też tak, jakby nie żyli.

Wtenczas też rodzą się i jej żarliwe, śródziemnomorskie hymny ku słońcu; wtenczas wybucha jej bunt przeciw renegatom promienistego bóstwa, które próżno woła: „Gdzież moje wizerunki? Gdzie moi czciciele?".

Świecisz o Ra, nam grzesznym,
Nie zważając na to,
Żeś uznany za grzejnik —
Za wielki radiator...

I na przekór tępocie,
Zwyciężając cynizm,
Świątynie, kutą w złocie,
Sam ze świata czynisz...

Zatrzymajmy się przez chwilę przy tej ostatniej przenośni, tak prostym a kapitalnym obrazem zamykającej ośmiowiersz. Świat ziemski, ukazany jako świątynia, kuta w słonecznym złocie, — czyż to nie akt wyzwolin, który człowieka podnosi z kolan zgiętych przed ołtarzem planetarnych bożków, wyprowadza z katakumb mroku i twarz jego odwraca ku majestatowi owej prawdziwej świątyni, jaką jest kosmos?

Ta religia słońca niewielu dzisiaj ma wyznawców.

I tylko kwiat, słonecznik, pozostał ci wierny,
Złociście opisując trysk protuberancyj,
I ja, gdy ziębnąc w cieniu katedry — kawerny,
Wielbię pamiątkę kultu twojego:
Monstrancję.

Słońce, zesztywniałe i zastygłe w kształt kościelnego sprzętu, to — symbol porywu, zakrzepłego w obrzęd, symbol fantazji a więc kreacji duchowej, ugiętej do służby celom organizacyjnym, powszednim, wyrozumowanym i użytkowym: celom władzy wywieranej przez człowieka nad człowiekiem. Ale poeta przychodzi na świat po to, aby przywracać kształtom zastygłym lotność i swobodę, dumę i prężność wlewać w pokornych i gnuśnych, entuzjazm odmrażać z obrzędów, monstrancje z powrotem rozpalać — w słońca!

Takim poetą jest i duch Jasnorzewskiej.

Miliony serc struchlałych, w zewnętrznym pogrążonych czcicielstwie, korzą się w mrocznych kawernach przed martwym wizerunkiem bóstwa. Lecz, oto, na zimny przedmiot kultu pada wejrzenie poety, i pod czarem tego wejrzenia znika kształt martwy, zapala się gwiazda życia.

Ale życie dla Jasnorzewskiej to — nietylko świat ludzki; i nawet nietylko świat zwierzęcy i roślinny. Życie dla niej to — wszystko, co wibruje w słońcu, co tętni rytmem wiekuistych odmian, co płynie rzeką czasu z przeszłości w przyszłość — „znikąd do nikąd". Nikt chyba z naszych współczesnych poetów i artystów nie czuje tak dotykalnie skrytego pulsu wszechistnienia, bijącego tajemnie w istotach i rzeczach pozornie najbardziej zamkniętych w sobie. Nikt tak, jak ona, nie roztapia się bez reszty w pąkach nenufaru, w kołach deszczu, snujących się na wodzie, w płaszczu róż, w spłoszonych chmurach nawałnicy, w milczeniu ruin:

Mury z oknem wyrąbanym w niebie,
A niżej, w polu, brama,
Sama i dla siebie,
Polnym chyba służąca konikom

— — — — — — — — — — — — — —

Pod trzonem zamku, człowieczego dzieła,
Murowanego ciała,
Które Przyroda zmasakrowała
Ostro, skaliście, straszliwie,
Stoją wędrowcy
W milczącym podziwie...
Oto mur, modre okno, oto baszta zwalona:
Tak piękne, jak natura. Bo to już Ona.

Czytając te słowa, jakimś czarodziejstwem spojone ze sobą w całość, która przestaje być słowem, a jest już duchem, jest *krystalizacją* ducha, mimowoli powtarzamy za Autorką: — Tak piękne, jak Natura; jak Natura gdy odbija się w oczach Poezji.

J. Grot.

Kasztelan i Kanonik

KSIĄŻKA WACŁAWA BERENTA O DWU JEZIERSKICH

„Ostatniego z kasztelanów pałacyk i burdel na Bednarskiej stoi do dzisiaj, po kuźni Praw Człowieka w Polsce śladu murów nie zostało". Istotnie, siły, które w epoce Sejmu czteroletniego reprezentował znakomicie Jacek Jezierski — „jaśnie kasztelan łukowski, poseł ziemi nurskiej, głośny mówca sejmowy, autor „dzieł" licznych, dziedzic na Sarnowie, Kierzkowię i Burcu, a Pan na lupanarze warszawskim" — nie utraciły do dnia dzisiejszego swej pozycji społecznej, nie wyrzekły się po stu pięćdziesięciu latach dawnych aspiracyj do „przodowania" w narodzie. Przeciwnie, z powodzeniem aspiracje te realizują...

Uczyniono natomiast wszystko, żeby zatarła się w narodzie pamięć Kuźnicy Kołłątajowskiej, pierwszego w nowoczesnej Polsce ogniska śmiałej myśli demokratycznej, z której zrodził się czyn Insurekcji 1794 roku, prolog bohaterskiej epopei walk niepodległościowych. I dlatego piękna książka*) Wacława Berenta, z której pochodzą przytoczone na wstępie słowa, jest dla nas książką o **dwu** Jezierskich, Jacku i Franciszku, kasztelanie i kanoniku. Na tym właśnie polega jej aktualność, jej związek z współczesną rzeczywistością Polski, w której przecież — jak wtedy — żyją i walczą z sobą dwa światy, upersonifikowane przez artystę w historycznych postaciach konserwatywnego obrońcy ładu i... lupanaru — oraz ubogiego, nieznanego szermierza demokracji.

My dziś równie dobrze, jak ludzie tamtej epoki, zrozumiemy zapalczywe słowa, rzucone przez radykalnego kanonika w całym szeregu pism ulotnych, broszur, pamfletów i „powieści". „Jest to właściwością możnych i hardych Panów — pisze Jezierski — iż, aby utrzymać w ręku swoim przywłaszczony urząd, albo też aby przeszkadzać prawemu rządowi swoją przewagą, że oni zawsze dobierają na urzędy osób podłych, nikczemnych dusz i skażonych obyczajów, którychby podług dobrej sprawiedliwości wygnać z kraju należało". A jak bardzo przemówi do dzisiejszego czytelnika takie zdanie: „z tego to wymysłu złośliwej polityki widzieć ludzi przewrotnych, gwałtownych marnotrawników, szulerów, pijaków, okrytych protekcją... aby na ich występkach utrzymywała się przemoc przeciw słuszności, taki związek nosi powłokę dobra publicznego miłości obywatelstwa... i to jest, co się nazywa hipokryzją patriotyzmu". Bo przecież „ten wyraz **patriotyzm** tak poszedł na wielorakie rozumienie teraz w Polsce, jak tłumaczenie Biblii między katolikami i niekatolikami". Przy rozpanoszeniu się możnowładztwa warstwa drobnoszlachecka spadała poprostu do położenia chłopów. „W czasie żniwa—opowiada Kutasiński herbu Dęboróg—chodziła moja matka z memi siostrami o półtory mili na daleką wieś żąć u JP. Vices Gerenta przez pięć dni, aby był za to patronem w Grodzie spraw mego ojca w pieniactwie z sąsiadami". Bywało i gorzej: „mój ojciec wziął sieci i szedł na polowanie wilków do kniei JP. Sędziego Ziemskiego, gdzie z drugimi sąsiadami **podrzyźniając ogarom** głosem, pędził obławą wilki do nastawionej obierży". Był on szlachcicem (herbu Dęboróg!) — „z potrzeby zaś był chłopem, robiąc vices. gerenszczyznę, która była na kształt pańszczyzny, a ile polował na wilki dla Sędziego zabawy, wyręczał powinność ogara". Nic dziwnego, że z **takiej** pozycji klasowej, gdzie osławiona równość szlachecka okazywała się fikcją nie tylko wobec magnata, ale i w stosunku do ziemianina (jakim był przecież Sędzia Ziemski), łatwiej było dostrzec krzywdę chłopską i zrozumieć ohydę stosunków feodalnych. „Zaczęła się wojna w postępowaniu wojsk łupiestwem, zaborem i pustoszeniem, a nim się ziemia zrosiła krwią walczących, pierwej skropiona została łzami ubogiego, pracowitego i niewinnego pospólstwa. Taki jest los okropnej doli rolników"... „nie weźmie wzrostu pożyteczna roślina... póki do rosy dającej posiłek nie przymiesza potu z czoła swojego wieśniak, i znowu nie okryje wawrzynem czoła wspaniałego zwycięzcy dopóki nie wyciśnie łez z ludu wiejskiego pierwej, nim przystąpi rozlewać krew morderstwem wojny". „Szlachta bierze na siebie najuciążliwszą powinność okrucieństwa, od przesądów nazwanego dzielnością i męstwem".

---

*) Wacław Berent: Diogenes w kontuszu — Warszawa, Gebethner i Wolff.

Głęboko humanitarny, demokratyczny duch wieku podyktuje Jezierskiemu słowa, w których obalone zostają same fundamenty opartego na przywileju społeczeństwa szlacheckiego: „Ten prosty człowiek, który najpierwszy sposób znalazł solenia śledzi, choć był wzgardzony ze swego sposobu życia przez rozumienie przesądu, przecież on się stał dobrodziejem narodu, sprowadził miliony zarobku swemu krajowi i więcej dokazał, jak wszystkie urojonej zacności zaszczyty". Nie zapominajmy, że pisał to szlachcic herbowy, któremu wybitne zdolności i rozległe wykształcenie otwierały przecież drogę do świetnej kariery — gdyby tylko zechciał talenty swe sprzedać warstwie, reprezentowanej przez drugiego Jezierskiego, kasztelana łukowskiego i pana na lupanarze warszawskim. Ale kanonik nie chciał korzystać z przywileju urodzenia — uważał, że tylko osobista zasługa, praca daje człowiekowi legitymację obywatelską, niezależnie od jego pochodzenia: „Gdyby był wolny rachunek między stanami ludzi i wybór zacnych osób z pośród ludzi, w którym stanie więcej by się znalazło zdatnych, dopiero by pokazała się prawda".

Przytoczyliśmy szereg pominiętych przez Berenta fragmentów z pism Franciszka Jezierskiego, bo odsłania się w nich rzeczywisty, społeczno-polityczny portret kanonika-demokraty. Pełne gniewu i sarkazmu słowa odważnego publicysty i głębokiego myśliciela chłoszczą przecież i dziś to samo zło, które korzeniami wrosło w polską ziemię, rozplemiło się na niej i zachwaściło ją. Książka Berenta, w której znakomity pisarz wykazuje tyle wczucia się w epokę i w związek tamtych czasów z naszymi, powinna być dzwonem, budzącym uśpionych, drogowskazem dla szukających wyjścia, latarnią oświetlającą drogi. Żywe słowo kanonika Jezierskiego, wskrzeszone przez artystę, powinno porwać współczesnych, jak porywało ludzi 1790 roku, powinno uczyć i prowadzić. Powinno — jak wtedy — nadawać kierunek Polsce idącej. Przecież intuicja wnikliwego i rozumiejącego swe powołanie historyka potrafi ożywić i zaktualizować postać historyczną, kazać jej przemawiać do potomnych. Cóż dopiero mamy prawo oczekiwać od artysty, dysponującego środkami niedostępnymi dla badacza! Pisarz—i to pisarz tej miary, co Berent — może zbliżyć do nas przeszłość i przelać ją w nurt teraźniejszości, stopić w jedno **wczoraj** i **dziś**, uczynić z współczesnych audytorium, wsłuchane w zapalające słowa dawno zmarłego, ale jakże bardzo żywego trybuna wolności.

A przecież ta naprawdę piękna książka nie znalazła oddźwięku, jakiego każe oczekiwać temat, poziom artystyczny i — przede wszystkim może — potrzeba chwili, ów „duch czasu", którego dzieckiem dzieło Berenta jest niewątpliwie Sądzimy, że zjawisko to trudno położyć jedynie na karb słabego zainteresowanania dzisiejszej publiczności dla poważniejszych (i trudniejszych) zagadnień. Zapewne, nie jest i to bez znaczenia. Zresztą nawet ten czytelnik, który znajduje upodobanie w tematach historycznych, woli je często w ujęciu biograficzno-anegdotycznym, lekko strawnym dla intelektualnego lenistwa. Stąd masowe rozpowszechnienie książek z rodzaju **vie romancée**, pośród których naprawdę wartościowe ustępują liczbą tandecie. Zdaniem naszym, przyczyna małej popularności książki Berenta leży jednak nie tylko po stronie publiczności. Jest w samej książce coś, co nie dopuszcza czytelnika do zbliżenia się z „Diogenesem w kontuszu", do zaczerpnięcia pełną, swobodną piersią atmosfery tamtych, jakże nam bliskich, walk. Książka ta nie jest transformatorem, przez który prąd przeszłości płynie w teraźniejszość i elektryzuje współczesnych, potęgując napięcie woli i energii działania. Kasztelan Jezierski, Katon konserwatyzmu i przedsiębiorstwa dochodowej miłości, postać w intencji autora racze; drugoplanowa, występuje w pełni życia i aktywności, nakreślony grubymi i wyrazistymi rysami. Kanonika Jezierskiego widzimy za gęstą mgłą, przez którą trudno przedrzeć się czytelnikowi, nie należącemu do szczupłej elity wtajemniczonych w hermetyczny, archaizujący język i styl autora. Temat historyczny nie wymaga bynajmniej „historycznego" — archiwalnego poprostu — sposobu wysławiania się, który przemówi może do smakosza, ale zwyczajnemu czytelnikowi zagrodzi wejście do środka. Język, wytwór długiego rozwoju historycznego, w którym proces żywiołowego stawania się splata się z świadomą twórczością mistrzów słowa, nie może być dowolnie (choćby i z rzeczywistego materiału) urabiany przez artystę. Język, świadomie i indywidualnie przez pisarza tworzony i stosowany, jest przecież środkiem służącym do porozumienia się z czytelnikiem, sposobem przyciągnięcia go do utworu, zakomunikowania mu treści i przelania tej treści w jego świadomość dla jej zapłodnienia i wzbogacenia. Jeżeli zadania te nie będą wykonane—mamy prawo twierdzić, że forma literacka owinęła treść w woal ezoteryzmu, uczyniła z niej wyszukaną potrawę dla wyrafinowanego smakoszostwa intelektualnego, ale „uratowała" ją przed żarłocznością profanów. W naszym wypadku niedopuszczenie maluczkich do stołu biesiadnego ma zresztą—bez względu na intencję autora—swoje głębsze znaczenie społeczne i z wszelką pewnością nie budzi niezadowolenia u tych, którzy wolą, żeby współcześni nie usłyszeli głosu księdza Jezierskiego...

Powiedzieliśmy: forma literacka. Bo nie tylko język przesłania nam postać kanonika-demokraty, oddala ją, czyni z niej czcigodny konterfekt starodawnej cnoty i muzealnego patriotyzmu. I sama kompozycja utworu obwarowała z wszystkich stron dostęp do tętniącego życiem i walką świata rodzącego się „jakobinizmu polskiego". Franciszek Jezierski nie jest przecież w książce Berenta nawet postacią pierwszoplanową. Kołłątaj i Staszic, Stanisław August i Śniadecki, Dekiert — wszyscy oni, daleko mniej od głównego bohatera zakonspirowani i zamgleni, ogniskują uwagę czytelnika, zasłaniając jeszcze bardziej postać podlaskiego trybuna Może to odsunięcie go na dalszy plan, w mroki tajemniczości, oddaje ówczesny stan rzeczy (Kołłątaj dopiero po śmierci Jezierskiego ujawnił jego nazwisko). Ale czytelnikowi nie ułatwia to zżycia się z bohaterem, przyswojenia sobie jego myśli i uczuć. Co więcej, to migawkowe, fragmentaryczne ukazywanie nam głównej postaci utworu ma taki skutek, że nie wiadomo w końcu, czy Jezierski pochodził ze wsi, był korepetytorem u dygnitarza powiatowego i handlował w Warszawie nabiałem — czy też, jak się okazuje przy końcu książki, był synem prawnika z Łukowa, służył wojskowo na Ukrainie, poczym został wizytatorem szkół i t. d. Nie można żądać od czytelnika, żeby, nie znając pism Jezierskiego, zorientował się od razu, że żywot szlachcica zagrodowego na początkowych kartkach książki osnuty jest na pamlecie **„Jarosza Kutasińskiego uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polszcze"** — a biografia prawdziwego Jezierskiego zaczyna się na str. 170! Któż w Polsce zna dziś pisma kuźnickiego publicysty? Na dobitkę, przy tym zrezygnowaniu z fabularnego toku zatracił się ważny, nie tylko biograficznie, szczegół z życia Jezierskiego. Jako wizytator szkolnictwa z ramienia Komisji Edukacyjnej zwalczał on energicznie bronioną przez potężne siły reakcji tradycyjną, obskurancką rutynę pedagogiczną, opartą na wzorach jezuickich i na feodalnej ideologii przywileju. Naraził się wskutek tego na nienawiść ze strony obywateli Ciemnogrodu i naciskiem szlachty województwa łęczyckiego został usunięty ze stanowiska. Nie chciano w szkole „masona"...

Kto jednak przedrze się przez przeszkody formalne, ujrzy w tej książce nieubłaganą walkę, która toczyła się już wtedy między dwoma światami, reprezentowanymi u Berenta przez dwu Jezierskich. I w walce tej weźmie udział. Bo dla nas, dziś, „Diogenes w kontuszu" nie może być i nie jest tylko obrazem **tamtych** czasów, **ówczesnych** walk, przebrzmiałych sporów, martwych zagadnień. Niezależnie nawet od intencyj

autora czytelnik dostrzeże w osobie księdza Jezierskiego żywe wcielenie tego wszystkiego, co od końca XVIII wieku walczyło o uwolnienie Polski spod prymatu warstwy, reprezentowanej wtedy przez kasztelana łukowskiego — pana na lupanarze warszawskim.

Michał Jordan

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

Włodzimierz Wiskowski: „Przepraszam, że żyję". Warszawa 1937. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Str. 464.

Już sam tytuł „Przepraszam, że żyję" budzi niepokój, przemawia jakimś piekącym wyrzutem. Później się okazuje, że te słowa nagłówka są wiernym refleksem grozy życia za kratą więzienną.

Każda niemal stronica posiada samoistną wartość i zawiera bądź tragedię coraz to innego człowieka z wielkiej galerii ludzi tamtejszych, bądź odtwarza jakieś wydarzenia wstrząsające. Cała książka dyszy śmiertelną męką istnienia poza normalnym i ludzkim bytem człowieka.

Tylko pisarz, obdarzony uczuciami społecznymi i głębokim zmysłem psychologicznym mógł tak wżyć się w ten świat zakratowany. Świat ten pulsuje życiem pod uderzeniami serca autora, a w oczach myślącego czytelnika to siedlisko skoncentrowanej niedoli człowieka przestaje wydawać się samoistnym i z własnych win powstałym, lecz wyrasta jako rzecz, której pierwiastki i części składowe tkwią nazewnątrz, w łonie samego społeczeństwa.

Prawda życia, która bije z książki Włodzimierza Wiskowskiego jest głęboko wstrząsająca. Poznanie jej treści istotnej wymaga skupienia i powagi milczącej.

Czesława Sobiesiak - Kamińska: „Kwitnące Żyto". Powieść. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1938. Str. 352.

Jest to wprawdzie debiut książkowy Czesławy Kamińskiej, ale autorka dała się już wcześniej poznać jako pisarka i nie jest obca naszym czytelnikom. Pierwsze swoje utwory nowelistyczne drukowała w „Epoce" i tutaj też ukazał się jej głęboko odczuty, na rzeczywistych przeżyciach oparty pamiętnik p. t. „Od dzieciństwa do matury". Uderzała już w tych pierwszych utworach odrębność i świeżość języka, który odmieniał się naturalnością obrazów i zapowiadał znaczne możliwości pisarskie.

Powieść „Kwitnące Żyto" niewątpliwie już potwierdza i całkowicie usprawiedliwia przewidywania i nadzieje, związane z istotą talentu pisarskiego Czesławy Kamińskiej.

Z wielkim poczuciem prawdy psychologicznej odtwarza autorka dramatyczne zmagania się dziecka z własnym środowiskiem. Stronice odtwarzające środowisko nędzy i okrutnej walki o byt, dyszą męką i cierpieniem, a samo życie dużej kamienicy na Powiślu oddane zostało niezmiernie plastycznie.

Trudno w tej krótkiej notatce bibliograficznej analizować i wyczerpująco prześwietlać treść tej powieści, stwierdzić ogólnie jednak trzeba, że jej głównym walorem jest głęboka prawda realistyczna, która bez żadnych ustępstw na rzecz konwensansów literackich, odsłania ponure i okrutne życie ludzi wydziedziczonych. Wielka wrażliwość autorki na ich cierpienia znamionuje ducha całej książki. W jednym z najbliższych numerów „Epoki" powieść tę omówimy obszerniej.

L.

EPOKA nie jest jednodniówką. EPOKA jest myślą ciągłą, która snuje się poprzez wszystkie numery. Dlatego, aby ją należycie rozumieć, trzeba czytać ją stale.

Piętno spożycia głodowego

„Bogactwo narodu wyraża się w tym, co spożywa, a nie w tym, co produkuje". Słowa powyższe, zapożyczone przez Karola Gide'a *) od Carlyla i Ruskina, mimo swej pozornej gospodarczo paradoksalności, zawierają bardzo głęboką prawdę. Aby ocenić, jaki stopień zamożności materialnej i kulturalnej osiągnęło jakieś państwo, nie wystarczy zbadanie statystyki jego produkcji i inwestycyj, nie wystarczy nawet ocenienie wysokości dochodu społecznego — trzeba także, a bodaj, czy nie przede wszystkim, zapoznać z jego spożyciem.

Same wskaźniki wytwórczości i inwestycyj, chociażby nawet b. wysokie, niczego nie tłumaczą, mogą dowodzić tylko okresowego, np. zbrojeniowego nakręcania koniunktury, „mobilizacji" wojennej przemysłu. Znaczny dochód narodowy, obliczony globalnie, nic nam powiedzieć nie może o tym, jaki udział biorą w nim poszczególne warstwy społeczne — zawsze można mniemać, w ustroju przynajmniej kapitalistycznym, że gros tego dochodu pochłania drobna grupa społeczna — z krzywdą pozostałych. Bogactwo więc byłoby tu pojęciem nie obejmującym całego narodu, a tylko sfery uprzywilejowane.

Jedynie spożycie, i to badane w różnych grupach dochodu świata pracy, daje nam rzeczywisty obraz zamożności narodu. Im jest on bogatszy, tym wyższe jakościowo spożywa dobra, tym bardziej kształci swoje potrzeby i lepiej je zaspakaja.

Gdy bierze się do rąk Mały Rocznik Statystyczny i czyta liczby porównawcze spożycia w różnych krajach — ogarnia przerażenie. Polska, w tabelach sporządzonych przez G. U. S., figuruje wszędzie prawie na szarym końcu. W wyścigu narodów do ukoskonalenia jakości swego spożycia pobiliśmy je tylko dwukrotnie. Polak nikomu nie daje się przegonić w zapotrzebowaniu na... żyto i kartofle.

Im wyższa jest stopa życiowa ludności jakiegoś kraju, tym mniejszy jest procentowy dział wydatków na żywność w budżetach rodzinnych i tym wyższe są rozchody preliminowane na zaspakajanie potrzeb kulturalnych. Robotnik polski wydaje na wyżywienie 66,2% dochodu, Belg — 58,2, mieszkaniec Czechosłowacji — 51,0, nie mówiąc już o obywatelu Stanów Zjednoczonych A. P. (33,6), Holendrze (37,5) i t. p. Życie pracownika fizycznego w Polsce mogłoby doskonale służyć, jako przykład typowego — „minimum egzystencji", a po części braku nawet tego „minimum".

*) „Kooperatyzm" — tłumaczenie St. Thugutta. nakładem „Społem" Związku Spółdzielni Spożywców.

PRZYWÓDCA „STRONNICTWA NARODOWEGO"

Człowiek ten rósł równocześnie z Apuchtinowskim pokoleniem spod zaboru rosyjskiego. Złudzeniem całego jego życia było przekonanie, że można przepolitykować czyn bojowy, że można zaprosić chociażby ostatniego cara do komnaty zawieszonej starą bronią polską, i że taka wizyta wystarczy. Napisał byŁ ów polityk parę dziełek, które roznoszono po Polsce w przekonaniu, że podziałają lepiej, niż broń. Nie podziałały wcale, gdyż czytelnicy, których pozyskał, bez czytania jego prac, myśleli tak samo „nowocześnie", jak i on sam. Mistrz był w tym wypadku zaledwie sekretarzem swojej rzeszy. Była to więc drukowana „niemoc". Miała wyznawców, z góry upatrzonych. Za okupacji rosyjskiej miała narodowa demokracja swój krótki okres Dumy, ale nie narodowej, lecz — Petersburskiej.

T. Ulanowski (Bank Chrystusa)

Skoro zaczęliśmy już rozważać problem konsumcji, skoro, niestety, stwierdziliśmy, że nasz rodzimy świat pracy musi na skutek niskich płac, dbać przede wszystkim o swój żołądek, a małą tylko część dochodów może poświęcać na inne potrzeby, zapominając prawie o kulturalnych, to nie od rzeczy będzie również zdać sobie sprawę z tego — jak odżywiają się u nas robotnicy?

Wiadomo ogólnie, że treść spożycia uzależniona jest w znacznym stopniu od dochodów. Mięsa np. konsumuje więcej urzędnik, aniżeli robotnik (gorzej oczywiście płatny). Najbardziej charakterystyczne jest tutaj to, że im większą sumą operuje „głowa domu" na jednostkę konsumcyjną swej rodziny — tym mniej wydaje na chleb, — tym więcej na wyższe gatunki pieczywa (ciasto), mięso, tłuszcze, używki wszelkiego rodzaju (herbata, kawa, alkohol) i t. p. Te strukturalne fluktuacje wydatków w zależności od kategorii dochodu — są logicznie uzasadnione. Kaloryczna wartość mięsa, jest większa aniżeli chleba, rozumie się więc, że ten, komu środki na to pozwolą, spożywać będzie więcej mięsa, mniej zaś chleba. Pieczywo gorszego gatunku, ziemniaki — to pożywienie ubogich.

Międzynarodowe Biuro Pracy w swym świetnym wydawnictwie p. t. „L'Alimentation des Travailleurs et la politique sociale" pomieściło szereg ciekawych danych, dotyczących spożycia pracowników fizycznych na całym świecie.

Roczna konsumcja żywności pochodzenia zbożowego i chleba, obliczona na jednostkę konsumcyjną w Niemczech, zgodnie z naszymi poprzednimi uwagami — jest w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do dochodu (139 kg., 137 kg., 128 kg., 132 kg.), tak samo jest w Belgii (226 kg., 217 kg., 219 kg., 204 kg.), w Szwecji (113 kg, 106 kg., 102 kg.), Norwegii, Czechosłowacji, Zjednoczonym Królestwie, Stanach Zjednoczonych — lecz nie w Polsce. W jednej jedynej Polsce wzrost „zamożności" powoduje wzrost spożycia chleba i artykułów zbożowych (199 kg., 222 kg., 229 kg., 213 kg.) — a chleba w szczególności (jak to wynika z innych tablic). Co to znaczy? Skąd to powstaje? Międzynarodowe Biuro Pracy wyjaśnia: „Można przypuszczać, że najniższe grupy dochodu obejmują ludzi ubogich, którzy nie mogą zaspokoić swoich potrzeb kalorycznych, nawet niedrogich; dlatego też wzrost dochodów pociąga za sobą równocześnie wzrost ilościowy przyswajanych kalorii pod postacią żywności pochodzenia zbożowego" — a więc najtańszej.

Jest to obiektywna ocena sytuacji. Czy opiera się ona na faktach? Sięgamy do Małego Rocznika Statystycznego: rubryka — „Budżety domowe rodzin robotniczych w Warszawie w 1927 r." — zgadza się! Spożycie chleba rośnie wraz z dochodami. Liczby Małego Rocznika są precyzyjniej obliczone (oparte są bowiem nie tylko na ograniczonej ilości budżetów, lecz na wagach dla całej Polski), a zwyżkowa tendencja utrzymuje się. Są jednak obliczenia nowsze (nieważone), z lat 1928/9, a więc za okres szczytowy koniunktury (Budżety Rodzin Robotniczych. Wyniki ankiety przeprowadzonej w Warszawie, Łodzi, Zagłębiu Dąbrowskim i na Górnym Śląsku 1928, 1929 — Wydawnictwo G. U. S.) — i tam jednak liczby potwierdzają opinię Międzynarodowego Biura Pracy.

Tak było w latach „prosperity" 1927 — 29. Cóż wobec tego dzieje się dziś? Jakie wyniki dałaby ankieta obecnie przeprowadzona?

Sięgnijmy znów do statystyki. Godzinne zarobki robotników w wielkim i średnim przemyśle stale spadają. Gdy w roku 1929 wynosiły one 1,01 zł., to w 1930 już tylko 1.00 zł., w 1931 — 0,94, w 1932 — 0,85, w 1933 — 0,80, w 1934 — 0,75, w 1935 — 0,73, w 1936 — 0,72. A równocześnie spadała liczba przepracowanych robotnikogodzin. W 1929 r. wynosiła ona 1640,0 tysięcy, w 1936, po znacznym już wzroście — 1117,2 tys. Świętówki, turnusy — podkopują byt klasy robotniczej, nawet tego odłamu, który nie znalazł się jeszcze w szeregach bezrobotnych.

Płace minimalne spadają. Realny wskaźnik godzinnych zarobków robotniczych utrzymywał się jednak na pewnym poziomie — ceny bowiem spadały (co nie świadczy o polepszeniu się stopy życiowej robotników, bowiem liczba godzin przepracowanych, jak to już stwierdziliśmy, malała — rósł natomiast zastęp bezrobotnych, których utrzymanie obciążało jeszcze zatrudnionych). Ale w ostatnich czasach znów spostrzegamy zwyżkową tendencję cen na artykuły pierwszej potrzeby. Rosną koszty utrzymania, — koszty żywności przede wszystkim. Administracyjne zarządzenia okazały się półśrodkami. Jak donosi Instytut Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen, wskaźnik realnych płac robotniczych spadł w b. r. z 135,4 w styczniu do 133,4 w lutym. Według danych statystycznych Głównego Urzędu wskaźnik kosztów utrzymania w Warszawie w styczniu b. r. wynosił 63,8 (kosztów żywności 52,5), w maju zaś 64,9 (kosztów żywności — 54.0). Sytuacja rzesz pracujących nadal pozostała zła.

Ankieta budżetowa, przeprowadzona dziś wśród robotników, potwierdziłaby niewątpliwie tezę Międzynarodowego Biura Pracy: braki kaloryczne w wyżywieniu, na wyższych szczeblach dochodu uzupełniane są przede wszystkim chlebem. To jest fakt, który polskiemu spożyciu nadaje szczególne piętno. Piętno spożycia głodowego.

Rudolf Lessel

Wydarzenia i dokumenty

BYŁO NAS PIĘCIU...

Artur Koestler, korespondent pisma „News Chronicle" w Hiszpanii, zaaresztowany został przez rebeliantów po upadku Malagi, skazany na śmierć, więziony przez trzy miesiące w Sewilli i uwolniony wreszcie na skutek energicznych protestów rządu angielskiego. Do ostatniej chwili pobytu w więzieniu Koestler pozostawał pod groźbą rozstrzelania, które mogło nastąpić każdego dnia. Przytaczamy poniżej fragment relacji Koestlera:

„Przez 63 dni byłem zupełnie izolowany w mojej pojedynczej celi. Nie wolno mi było wychodzić na dziedziniec, ani rozmawiać z nikim. Wreszcie 64-go dnia — było to 13 kwietnia 1937 roku — po raz pierwszy wyprowadzono mnie na „patio" o pierwszej po południu. Jest to w całej Hiszpanii pora posiłku, nawet w więzieniu, nawet na froncie. Więźniowie byli w celach. Na dziedzińcu znajdowało się tylko czterech więźniów.

Na jaką karę skazani? — brzmiało oczywiście moje pierwsze pytanie. „A muerte" — powiedział pierwszy. „A muerte" — powiedział drugi. Byli to republikanie. Nie mogę podać ich nazwisk. Oczekiwali śmierci od trzech miesięcy. Nie było to wcale wyjątkiem. Przebywali tu więźniowie polityczni, od wielu miesięcy odbywający spacer „stu kroków" na patio — z wyrokiem śmierci w kieszeni.

„A muerte" — powiedział również trzeci. Był to chłop andaluzyjski, milicjant z wielotygodniową brodą, o łagodnych, błękitnych oczach. Został jeńcem na froncie Almerii.

Czwarty nie wiedział jeszcze, co go czeka. Był to rosły Włoch, porucznik korpusu ekspedycyjnego, który Mussolini wysłał do Hiszpanii.

Nazywał się Carlos Augusto K.

Milicjant nazywał się Mikolaj. Został uwięziony przed dziesięciu dniami, a w osiem dni później — skazany. Oskarżenie — jak wobec wszystkich jeńców wojennych — zawierało się w dwóch słowach: „Rebelion militar". Mikołaj odtworzył przebieg procesu podczas gdy przemierzaliśmy patio wzdłuż i wszerz. Przewodniczący odczytał imię i nazwisko więźnia, miejsce jego urodzenia oraz miejsce jego pojmania. Prokurator zażądał kary śmierci i dodał: „Żałuję, że nie mogę posłać tego łotrzyka do Genewy, w klatce — by pokazać Lidze Narodów, jak podli są rzekomi obrońcy prawa i demokracji".

Mikołaj dobył skądś główkę zielonej sałaty i żuł ją podczas swej opowieści. Zaofiarował nam kilka liści. Odmówiłem, ponieważ był to dziewiąty dzień mej głodówki. Pozostali trzej więźniowie żarłocznie połknęli zielone liście. „Jak sądzicie? Kiedy mnie rozstrzelają?" — zapytał Mikołaj. „Paciencia, mój mały — odparli republikanie. — Musisz uzbroić się w cierpliwość. My czekamy od trzch miesięcy"....

Lecz Mikołaj miał szczęście. Nazajutrz zniknął. Rozstrzelano go w nocy.

„Requiescat in pace", Mikołaju. Postanowiłem Twemu imieniu poświęcić książkę o naszych wspólnych przeżyciach. Lecz na cóż się to przyda Tobie? Nie umiałbyś jej przeczytać, nawet gdybyś żył. Dlatego w istocie rozstrzelano Cię i zamanifestowałeś swe pragnienie nauki, światła. Ty i miliony rodaków chwyciło za starą, zużytą broń w obronie władz i ustroju, od których oczekujecie spełnienia swych pragnień.

Mój Boże, powinni byli w istocie posłać Cię do Genewy".

PRZECIW JAPOŃSKIM OKRUCIEŃSTWOM

W londyńskim „Albert Hall" odbyło się wielkie zebranie protestacyjne przeciw najazdowi Japonii na Chiny. Zebraniu, w którym uczestniczyło 8.000 osób, przewodził arcybiskup Canterbury.

Arcybiskup Canterbury wskazał, iż celem zebrania było zaprotestowanie przeciw „mordowaniu i zabijaniu niewinnej ludności cywilnej; okrucieństwa te wstrząsnąć muszą sumieniem całego cywilizowanego świata".

Na zebraniu przemawiał również reprezentant Chin, profesor Czang-Peng-Czun. Mowę swą zakończył słowami: „To co dzieje się w Chinach, jest zwierciadłem, w którym wszystkie narody ujrzeć mogą, jak nieobliczalne są konsekwencje bombardujących nalotów powietrznych".

„Czyż nie jest to straszliwe ostrzeżenie i apel o wysiloną akcję, zmierzającą do zmniejszenia liczby tych narzędzi zniszczenia, a nawet — całkowitej rezygnacji z ich użycia, póty nie jest za późno?"

Na zebraniu uchwalono rezolucję, potępiającą grozę i okrucieństwo japońskiego najazdu na Chiny.

Przywódca liberalnej opozycji, Archibald Sinclair, wystąpił z konkretnym projektem represyj wobec najeźdźcy:

„Trzy czwarte handlu Japonii to handel z Imperium Brytyjskim, Holandią, Francją i Stanami Zjednoczonymi. Gdyby te cztery państwa odmówiły wszelkich kredytów Japonii i zabroniły wszelkiego przywozu z Japonii do chwili przerwania przez nią agresji na Chiny i poddania konfliktu pod obiektywny sąd — wówczas Japonia zostałaby pozbawiona środków, niezbędnych do prowadzenia wojny i musiałaby zawrzeć ugodę".

Podobnie Towarzystwo Pokoju i Odbudowy uchwaliło pod przewodnictwem Lloyda George'a rezolucję, domagającą się „efektywnego nacisku ekonomicznego" na Japonię.

CHLEB I KOLONIE

— Chleb jest święty. Pod tym hasłem obchodzono w Trzeciej Rzeszy uroczystości dożynkowe, których najważniejszym epizodem był obchód w Bückeburg, w zachodnich Niemczech. Przemawiali tam kanclerz Hitler i minister rolnictwa, Darre. W mowach ich wracały wciąż, jak natrętny, a bardzo znamienny motyw — słowa o braku chleba.

Minister Darre oświadczył, że ludność musi ograniczyć spożycie chleba na rzecz kartofli. Na kolację na przykład winno się jeść ziemniaki, a nie chleb. Darre przyznał, że wymaga to gruntownej zmiany zwyczajów, ponieważ Niemcy nawykli do zimnych kolacyj, złożonych z chleba, masła, sera i wędlin. Lecz minister Darre wykazał, że niezbędne jest ograniczenie konsumcji tych produktów, które ziemia niemiecka daje w niedostatecznej ilości. Do takich produktów należy — pszenica.

Obok mięsa i tłuszczów, znalazła się tedy również pszenica na „indeksie żywnościowym" Trzeciej Rzeszy, w której moloch przyszłej wojny już dziś ogładza ludność.

Kanclerz Hitler domagał się w swej mowie najwyższej i bezwzględnej dyscypliny chłopów. Wskazał, że Rzesza walczy z trudnościami, a główną ich przyczynę upatruje w braku kolonij. „Świat wokół nas czyni absurdalne uwagi i okazuje głupotę oraz brak zrozumienia, gdy słyszy nasze słowa o ciasnocie przestrzeni, w której żyjemy i o niezbędności powiększenia tej przestrzeni dzięki koloniom".

Powszedni niedosyt żołądków obywateli, spowodowany trudnościami gospodarczo-aprowizacyjnymi, usiłuje zagłuszyć coraz huczniejsza i wrzaskliwsza propaganda kolonialna w Trzeciej Rzeszy.

DEMOKRACJA STRASZY

Pod tytułem „Indeks faszystowski" Bracke w „Populaire" przytacza niezmiernie charakterystyczny okólnik generalnego inspektora nauczania publicznego w Epirze (Grecja), skierowany do profesorów liceów i dyrektorów szkół tego okręgu.

„Zważywszy — czytamy w okólniku — że nauczanie pewnych tematów zawiera sprzeczności, których nie należy prezentować uczniom zbyt młodym, bo mogą one wywołać u części profesorów niebezpieczne nieporozumienia, co przekreśla ustalone cele z zakresu nauczania, zarządzam co następuje:

A) ...nie wykładać ani teorii Darwina, ani o pojawieniu się człowieka na ziemi pod koniec trzeciorzędu... (bo) sprzeczność, która jest tylko pozorna, między nauką a wiarą, może być interpretowana jako podstawowa przez dzieci, których umysł znajduje się dopiero w fazie kształtowania, a przez to — pomniejszyć zarówno autorytet nauki, jak religii.

B) ...w VI kl. usunąć żałobne przemówienie Peryklesa... (gdyż) idee demokratyczne naprawdę wzniosłe, które tam są zawarte, mogłyby być niesłusznie interpretowane przez uczniów, jako *bezpośrednia krytyka mocnej polityki rządu i ogólnych tendencji obecnego państwa.* Mówimy „niesłusznie" ,ponieważ faktycznie rząd urzeczywistnił prawdziwy triumf idei demokratycznej, wolności, dobrze pojętej, przeciw skłonnościom demagogicznym i wszelkim zarodom ,dekompozycji". Ale, ponieważ młodzież jest niezdolna do wyższej abstrakcji, jak również do mozolnego poszukiwania prawdy, a łatwo skłania się do gruntowania przekonań jedynie na uczuciu, trzeba, by nauczanie pięknych utworów Tucydydesa zostało... opóźnione o kilka lat i odłożone do chwili aż młodzież grecka dojrzeje i zrozumie piękny starożytny tekst... W przeciwny razie idee te wywołać mogą niezgodę i rozstrój, jak wywołały w czasie wojny peloponeskiej, wtedy, gdy tę mowę wygłosił do Ateńczyków wielki Perykles, który w najgodniejszej podziwu szacie przedstawił najpiękniejsze zdobycze demokratyczne plebsowi ateńskiemu, pozbawionemu dostatecznie mocnego mózgu. Przyczyniła się więc ona do rozbudzenia w Ateńczykach tej nierozumnej dufności w swą potęgę; tak przez ich anarchiczną pychę zostało zniszczone to wspaniałe dzieło, które stworzyły w lepszych czasach te same idee demokratyczne...".

Darwin na indeksie. Tucydydes ofiarą ostracyzmu po raz drugi, po 2400 latach". Oto, co ofiaruje mussolinizm i hitleryzm przyszłym pokoleniom. Tymczasem Tucydydes nie przestaje oddziały-

wać demoralizująco na młodzież, bo oto, gdy niedawno minister oświecenia Francji Jean Zay bawił w Atenach, 800 studentów wraz z tłumem publiczności demonstrowało serdecznie przed hotelem gościa. Policja aresztowała kilkudziesięciu studentów. Kiedy zaś niemiecki minister, Rust, wizytował Uniwersytet i rozdawał mnóstwo oznaczeń, przyjęto go mimo to lodowatym milczeniem.

OŚWIADCZENIE STUDENTÓW MEDYKÓW

Dn. 9 bm. po wykładzie farmakologii na wydziale lekarskim, duża grupa studentów - Polaków IV kursu medycyny ogłosiła publicznie, oraz zebrała liczne podpisy pod następującą petycją do rektora U. J. P.:

„My niżej podpisani studenci IV kursu medycyny U. J. P. zwracamy się do Jego Magnificencji z prośbą, aby zechciał rozważyć, że jakkolwiek jesteśmy zmuszeni do podporządkowania się jego rozporządzeniu o podziale miejsc, sądzimy jednak, że o wartości człowieka decyduje nie jego narodowość, lecz poziom kulturalny i umysłowy, wobec czego uważamy, że ów sztuczny podział miejsc, nie zmieniający zresztą wcale wzajemnych stosunków koleżeńskich, nie powinien istnieć".

***

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wydawnictwa J. Mortkowicza (Two Wydawnicze w Warszawie) Warszawa—Kraków 1937.

Mieczysław Jastrun: Strumień i Milczenie (poezje).

Stefan Gołębiowski: Kłos słońca (poezje).

Maria Jasnorzewska (Pawlikowska): Krystalizacje (poezje).

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego, Katowice 1937:

Aleksander Groza: Zagadnienie elektryfikacji na Śląsku z 21 rycinami. Skład Główny: Nasza Księgarnia — Warszawa.

Aleksander Birkenmajer: Astronomowie i astrologowie śląscy w wiekach średnich. Skład Główny: Nasza Księgarnia — Warszawa.

Henryk J. Korybut - Woroniecki: Z Czasów Wielkiej Wojny. (Stowarzyszenie „La Pologne et la guerre" w Szwajcarii). Warszawa 1937. Wydawnictwo Instytutu Józefa Piłsudskiego.

Włodzimierz Wiskowski: Przepraszam że żyję. Warszawa 1937. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Czesława Sobiesiak - Kamińska: „Kwitnące żyto". Powieść. Warszawa 1938. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

G. Stern: „Droga bez kresu". Przekład *G. Nadlerowej.* Warszawa 1937. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień".

Marcin Andersen Nexo: „Pelle zwycięzca". Powieść. Przekład *Józefa Mondscheina.* Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień".

Wydawnictwa F. Hoesicka. Warszawa 1938:

Róża Czekańska - Heymanowa: „Maria Kalergis".

André Sillon: „Jego Ekscelencja ogląda świat". Przekład Zygmunta Wita. Powieść.

Stanisław Piętak: „Młodość Jasia Kunefała". Powieść.

Stanisław Łukasiewicz: „Głód niezaspokojony".

Jerzy Strzemię - Janowski: „Karmazyny i Żuliki.

Sprawozdanie Dyrektora Międzynarodowego Biura Pracy złożone XXIII Sesji Konferencji Pracy: „Czego nauczył nas kryzys?".

J. K. Kochanowski: „Humanizm i człowiek". Spostrzeżenia i drogowskazy.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty za kwartał IV-ty

Od wydawnictwa

Wobec scentralizowania administracji naszego pisma w WARSZAWIE, Oddział Administracji „Epoki" w KRAKOWIE został zamknięty.

Odtąd wszelkie czynności administracyjne załatwia wyłącznie Administracja w Warszawie, ul. Ordynacka 5, tel. 2-13-90

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K O. 26.630.
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC WP 4230 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.